Nr. 2. Poznań, Niedziela 13go Stycznia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod. lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Bankructwo haseł wolnej konkurencyi.

I.

Korab burżuazyjnej ideologii, który miał nas wieźć z dumnie rozpuszczonemi żaglami po rozhukanych falach życia w świetlaną krainę szczęścia, w ziemię płynącą mlekiem i miodem, w kraj, gdzie słońce wszechbraterstwa i wszechmiłości nigdy nie zachodzi, osiada obecnie na mieliźnie. Ideały starodawnego liberalizmu „militans“, ideały Rouss'a i Condorcet'a, które niegdyś pieściły słuch ludzkości i budziły w jej sercu tysiąc szlachetnych porywów i wielkich dążeń, stały się w ustach współczesnej nam zachodnioeuropejskiej burżuazyi kłamstwem i fanfaronadą. „Przeminął czas, przeminął czas tęczowej cudów powieści!“ Nikt nie bierze na seryo buńczucznych frazesów, rozdętych oracyj i błyskotliwych fajerwerków, którymi dzisiejsza skarłowaciała burżuazya stara się uśpić budzące się do życia i prowadzone dotychczas na pasku zastępy ludu. „Czyście ukoili“ — woła ten ostatni — „tysiąc ziejących bólem ran, czyście złagodzili wołające o pomstę do nieba krzywdy i niesprawiedliwości, czyście przynieśli ulgę zbiedzonym i upośledzonym?“ Lud nie daje się więcej brać na lep obietnic i przysiąg, nie wierzy, by apostołowie burżuazyi zdołali wcielić w życiu chociażby cząstkę przyrzekanych dobrodziejstw. Lecz czyż można brać za złe ten sceptycyzm i brak wiary w skuteczność leków, zalecanych przez tę grupę, która się mianuje pracowniczką w winnicy wolności, gdy ona własnem postępowaniem zadaje kłam swym słowom i budzi wątpliwość o szczerości wygłaszanych przez się haseł? Konia z rzędem temu, kto potrafi pogodzić troskę o dobro „maluczkich“, pieczę o braciach młodszych ze wstrętnem sobkostwem austryackiej burżuazyi, która z uporem godnym lepszej sprawy, przymyka oczy przed widokiem „nizin“ i zatyka uszy przed skargami, podnoszącymi się z suteren budowli społecznej. Trudno, doprawdy, widzieć w giełdziarzu i aferzyście prawdziwego szermierza ludzkości, rycerza bez skazy i zarzutu, mającego walczyć u boku ludu w obronie swobód politycznych, gdy ten sam rycerz rzucił się w objęcia zacofańców i wsteczników jedynie, by nie dopuścić szerokich mas ludowych do urny wyborczej. Czyż ta sama węgierska burżuazya, która z zacietrzewieniem proklamuje wolność sumienia i równouprawnienie wyznań, nie ciemięży ludów słowiańskich, nie stara się trzymać ich w ucisku i ciemności, dążąc do wyplenienia w ich sercach uczucia narodowego? Czyż angielska burżuazya, mająca niedawno jeszcze na swem czele „the great old man“ nie przeszła do obozu tych, których zwykła uważać za antypodów, jedynie w tym celu, by uniknąć konieczności naprawienia błędu stuleci i powetowania starej krzywdy Irlandczykom. A czy może francuzka ludność ma wznieść swój wzrok ku Panamczykom i widzieć zbawiciela w sprzedajnej zgraj, toczonej zgnilizną duchową, dotkniętej niemocą moralną i rażonej paraliżem sumienia obywatelskiego? Czyż błędne ogniki, błąkające się po kałużach błota mają przyświecać pochodowi w przyszłość? Czyż serca przepsute i przepalone prostytucyą duchową, zdolne odczuć cały głąb wielkich i szczytnych ideałów? Czyż ręce moczone w krwawicy ubogich zdolne dzierżyć z godnością sztandar postępu? Wprawdzie pływa burżuazya dalej w potoku frazesów, rozpina po dawnemu tęczę starodawnego liberalizmu i radykalizmu i wykrzykuje od czasu do czasu z emfazą słowa równości, wolności i braterstwa, lecz wszystko to fałsz i obłuda; usta głoszą piękne słowa, a serce pali żądza odznaczeń, orderów i głównie złota a pierś rozpiera pragnienie władzy, która daje możność kieszeń masy obrócić w dojną krowę. I gdy tam na dole rozbrzmiewa głos słowami z „Niedokończonego poematu“ Krasińskiego: „Od sponiewieranych, uciśnionych i nędznych przynoszę wam pozew“, cóż też mogą odpowiedzieć siedzący tam w górze na workach złota towarzysze Wilsona i Hertza? Tak wygląda ideologia burżuazyi. Nie będziemy zapuszczali się głębiej w przyczyny tej dekadency. Chcieliśmy zwrócić uwagę na jednę okoliczność. Jeżeli życie przechodzi nad burżuazyą do porządku dziennego, jeżeli ona przestaje być głównym bohaterem chwili bieżącej, to przyczyny tego zjawiska trzeba szukać nie w czem innem, jeno w samem życiu i formach, w które ono odlewa swą istotę. Ten właśnie rozwój, owe „morze wieczyste, tchnienie ogniste w przemiennym bycie“ przekształca te formy społeczne, które niegdyś były uważane za święte i nietykalne. Sama historya ukazała nieudolność stosunków i instytucyi społecznych, dla których ongi kruszono kopie i staczano walki. Nie poprzestając na tem, poddała ona między innemi krytyce jedną z najważniejszych podstaw współczesnego ekonomicznego ustroju, a mianowicie zasadę wolnej konkurencyi. Jak wiadomo, ideałem burżuazyi była nieograniczona i nieokiełznana niczem gra żywiołów ekonomicznych wykluczająca wszelką interwencyę państwa, które miało przybrać stanowisko nocnego stróża i stać się powolnym służką i obrońcą własności i porządku. W trawestacyi na żargon burżuazyi brzmiał ten postulat: wolna konkurencya. Od niej spodziewano się najzbawienniejszych skutków; ona miała być podwaliną postępu i kluczem do rozwiązywania wszelkich zagadnień i łamigłówek społecznych. Złożyć ręce i patrzeć obojętnie na walkę interesów ekonomicznych — oto formułka działania politycznego, która w swej ostatecznej i najbardziej krańcowej formie znalazła wyraz w „Jednostce wobec państwa“ Spencera. Ten ostatni chciał widzieć w dodatku w zasadzie laissez faire zastosowanie odwiecznych praw walki o byt, rządzących wszechświatem, i z tego punktu widzenia potępiał z góry wszelkie wtrącanie się państwa do zatargów społecznych. Lecz rzućmy spojrzenie wokoło siebie i zobaczmy, co się stało z tej św. Trójcy burżuazyi: wolnego handlu, nieograniczonej konkurencyi i „laissez faire“ państwa. Większość państw otoczona baryerami celnemi. Ameryka, przodująca obecnie światu przemysłowemu, trzyma się uporczywie swej protekcyjnej polityki, odpędzającej producentów europejskich. Jak przepowiadają, w ślady jej ma wstąpić opoka i ojczyzna wolnego handlu — Anglia. Ta sama burżuazya, która uważała wolny handel za zbawienie, za jedynie naturalną drogę, za coś wypływającego z samego biegu rzeczy, wypiera się swych teoryi i popełnia tym sposobem duchowe samobójstwo. Lecz nie powinno to nas zupełnie dziwić. Nowe dążenia i programy zostały podyktowane przez konieczność i ducha czasu. Nowsza burżuazya jest również wytworem t. zw. ostatniej fali. Podobnie jak człowiek nie może przeskoczyć przez siebie samego, tak żadna klasa, warstwa lub grupa nie może się wyzwolić z pod wpływu wymagań chwili bieżącej. Nie burżuazya i jej ideały zbankrutowały, lecz samo życie podało do protestu, że się tak wyrazimy, jej zobowiązania. Życie, które ją pasowało ongiś na rycerza, zdegradowało ją następnie na stopień szalbierza politycznego. Że zasady wolnego handlu

zostały podkopane i nadwątlone przez samą ewolucyę, że one nie ostały się wobec krytyki historyi, stojącej po nad kaprysami i chwilowemi zachciankami ludzi, dowodzi jeszcze inna ważniejsza okoliczność, a mianowicie ta, iż chaos konkurencyi ogłosił sam z samego siebie kartele, syndykaty i ringi i zaprowadził współczesną produkcyę i odpowiadającą jej wymianę niespostrzeżenie dla samych ludzi przed wrota monopolu. Ten bowiem jest ostatnim wyrazem industryi daty dzisiejszej i tryumfem rozwoju nad ideologią ludzi. Nadaremnie będziemy się zżymali na tę nową, poniekąd brutalną formę wyzysku i despotyzmu przemysłowego, nadaremnie będziemy taranem swym szturmowali w jego świeżo wzniesioną twierdzę; monopol w dziedzinie handlu stał się faktem niezaprzeczonym i czynnikiem pierwszorzędnej wagi. Historya się nie pyta, o ile te lub inne objawy przypadają nam do smaku i narzuca nam z siłą konieczności wolę swoją. Poddanie się jej rozporządzeniom jest rzeczą nader smutną i przedewszystkiem dla tych, którzy chcieliby prawa świata nagiąć do swych małostkowych myśli i upodobań, zapominając, iż „przeżytych kształtów żadna siła nie wróci do istnienia.“ Historya twierdzi i neguje — że użyję gwary nadwornego pruskiego filozofa, a negując, t. j. burząc przeszłość, znosi jednocześnie stare dolegliwości i klęski. Tyczy się to właśnie i nowopowstającego monopolu. Jakkolwiek można bardzo wiele zarzucać kartelom i trustom, na chwałę ich musimy powiedzieć, iż łagodzą jedną z najciemniejszych stron dotychczasowego stanu rzeczy chaos anarchii w życiu ekonomicznem. Brakiem porządku i zupełną dezorganizacyą odznaczała się swawola konkurencyi. Przewidzieć, zważyć i obliczyć rezultaty walki rynkowej staje się rzeczą przechodzącą siły jednostki z chwilą wzrostu samego rynku. Gdy produkcya została rzuconą w wir wszechświatowej wymiany, ta gorączka wyzyskiwania chwili ogarnęła wielki przemysł na całej linii, a wytwarzanie towarów zamieniło się w grę hazardową i spekulacyę. Podstawa życia materyalnego ludzi stała się polem krwawych zapasów i bratobójczej walki, przynoszącej zwycięztwo posiadaczom kłów i pazurów w postaci kapitału, a porażkę pionkom ekonomicznym. Oddzielne epizody tej walki zaznaczały się katastrofami większych rozmiarów, znanemi pod nazwą kryzysów ekonomicznych. Cały misternie, lecz pośpiesznie i sztucznie wzniesiony budynek rozwalał się z trzaskiem, zasypując pod gruzami tysiące słabszych wytwórców, podczas gdy silniejsi na zwaliskach budowali nowy gmach, przypominający coraz więcej ową piramidę, stojącą na śpiczastym wierzchołku. Potentaci, którzy wychodzili zwycięzko, znalazłszy się wreszcie na wyżynach ekonomicznych, zamiast zwalczać się i mordować, postanawiają łączyć się dla wspólnych celów, albowiem walka przynosiła wszystkim olbrzymie straty, solidarność zaś umożliwiała zgodne współdziałanie i opanowywanie rynku. Ztąd pozostawał jeden krok do regulowania samej produkcyi. Na tem polega właśnie pierwszeństwo tych nowoczesnych instytucyi w wielkim stylu wobec przedawnionych poniekąd form monopolu. Ringi mają na celu sztuczne podnoszenie i zniżanie cen. Kartele są to zawięzywane zwykle na przeciąg jednego roku stowarzyszenia wytwórców, porozumiewających się w sprawie wspólnego oddziaływania na rynek i normowania produkcyi stosownie do jego zapotrzebowań. W razie jeżeli wytwórcy oddają zakłady pod jednolite kierownictwo, a powierzanie tranzakcyi powierzają dyrekcyi całego związku, mamy przed sobą syndykat trust zaś powstaje wtedy, gdy związek przyjmuje formę olbrzymiego akcyjnego towarzystwa, a właściciele oddzielnych zakładów poprzestają na stanowisku zwyczajnych akcyonaryuszów. Odstępując instytucyi tytuły własności swych majątków, wyrzekają się tem samem wszelkiej samodzielnej działalności. Trust więc nie jest już niewolnikiem wybryków rynku, gdyż silny jednością i organizacyą jest zdolny uregulować swą produkcyę odpowiednio do jego ilościowych i jakościowych wymagań. Tego rodzaju stowarzyszenia potrafią przeto stawiać czoło i huraganom, zrywającym się peryodycznie w sferze przemysłowo-wymiennej, a z czasem okażą się może zdolnemi do ich zażegnywania. Trust występuje oczywiście jako potęga i wobec luzaków, kroczących samopas po rynku. Dzięki swym zasobom materyalnym, technicznemu rynsztunk[illegible] i sile organizacyi, ruguje on łatwo wspó[illegible]ników i staje się jakby uosobieniem narod[illegible] produkcyi w obrębie danej gałęzi.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego.

„*Kuryer Poznański*“ w polemice z „Posener Tageblatt“ takie czytelnikom swoim składa wyznania, przyznania i zaprzeczenia:

„Zamiast nas zwalczać osobiście pomaga sobie „Posener Tagebl.“ denuncyacyą podwójną: grozi nam „Wyspą tumską“ z jednej strony, a z drugiej z właściwym sobie taktem i rycerskością szczególniejszą „Wyspę tumską“ chce robić odpowiedzialną za nasze artykuły. Przyznajemy się, że wśród walki, jaką przeciwko nam rozpoczęto, i z naszej strony pada niejedno wyrażenie i cięcie, którego po wydrukowaniu żałujemy, ale czemże to jest w porównaniu z tego rodzaju denuncyacyami?

...Co zaś do twierdzenia „Tageblattu“, iż nasze pismo jest organem „Wyspy tumskiej“ — to już mieliśmy sposobność oświadczenia tego przed rokiem, że wdzięczni bylibyśmy za każdą wskazówkę, ztamtąd pochodzącą, bo byłaby ona niewątpliwie i rozumną i dobrą, — a l e p o n i e w a ż t o r z e c z ą n i e m o ż l i w ą, więc cieszymy się, że przynajmniej poznawszy zarysy politycznej myśli (czyjej? Przyp. Red.) w kierunku utrzymania naszego życia religijnego i narodowego, obok wierności dla Tronu a zgody z naszemi niemieckimi współobywatelami staramy się podług nich postępować.

Jeżeli w tym kierunku błądzimy, albo niewłaściwe ku temu w danej chwili obieramy drogi, naszą to sprawą i odpowiedzialność całą za to my wyłącznie ponosimy. A cóż dopiero w konkretnych przypadkach, we formie lub sposobie pisania!...

Konstatujemy to i po uczciwości dziennikarskiej „Tagebl.“ oczekujemy, że odtąd z nami a nie z „Wyspą tumską“ walczyć będzie, której organem się nazwać i być zaszczytu nie mamy.

..Jeżeliśmy napisali, że do Związku antipolskiego należą ludzie bez honoru, za czem nadaremnie szukaliśmy w naszem piśmie (!) tedy oświadczamy jako uczaiwi ludzie, że jeśli tak było, to musi to być także wzięte n a k a r b n a s z e g o r o z d r a ź n i e n i a i u n i e s i e n i a.“

W sprawie rozporządzenia prezesa regencyi kwidzyńskiej, aby sztuki grywane w polskich teatrach amatorskich przedstawiać władzom w tłomaczeniu niemieckiem, zamieściściły nieomal wszystkie nasze pisma artykuły polemiczne. „*Gazeta Gdańska*“ wykazuje na podstawie broszury p. Palędzkiego („O przepisach prawnych dotyczących amatorskich przedstawień“) bezprawność takiego żądania i taką w końcu załącza uwagę:

„Jeżeliby rozporządzenie p. prezesa reg: kwidzyńskiej miało się utrzymać, wtenczas nie tylko zabawy, lecz nawet zebrania naszych towarzystw byłyby uniemożebnione, bo żądanoby następnie i tłomaczeń wszystkich wierszy, monologów, przemówień i odczytów nie tylko na zabawach, ale i na zebraniach, bo i takowe odbywają się najczęściej u oberżystów i służą członkom nie tylko do nauki, ale i do zabawy.“

W tej samej sprawie piszą do „Gazety Gdańskiej“ z Lubawy:

„Znane rozporządzenie antypolskie rejencyi kwidzyńskiej wprowadzają już w życie. Miało się tu odbyć przedstawienie teatralne polskie, ale policya pozwoliła na nie dopiero wtedy, gdy dostarczono tłomaczenia sztuczek, poświadczonego przez przysięgłego tłomacza. Poseł nasz p. dr. Rzepnikowski postarał się o rzeczone tłomaczenie, sprawę tę wytoczy jednak w sejmie. Ciekawość, co p. minister oświadczy?“

„*Gazeta Opolska*“ poświęca w Nr. 3 wstępny artykuł polskiemu „Sokolstwu“ cytując za pis-

---

5)

MARYA RODZIEWICZ.

RYNGRAF.

NOWELA.

(*Dokończenie.*)

— Poruczniku Stanisławie! — rozległ się twardy głos z obcym zupełnie dźwiękiem. Zostałeś podany za ranionego po bitwie pod Puente. Jesteś zdrów... Sztandar i przysięga czeka na twą krew i służbę!

Młodzieniec odsłonił oczy i cofnął się o krok. Oficer o krok postąpił.

— Stanisławie Skabłoński! — powtórzył głos nieubłagany. Jako narzeczonego mojej siostry ja wyzywam o słowo dane i czekam, byś szedł za mną!

Znowu o krok cofnął się zbieg, a sędzia posągowo spokojny postąpił także i znalazł się we wnętrzu altany.

Lampka się paliła, oświetlając stół, a na nim porzuconą gitarę i długie szpilki z włosów Mercedes. Resztę przestrzeni mrok ogarniał, i tylko w głębi blask bił o ryngraf złocisty, zdobiący wezgłowie łoża. Gdy Stach wciąż milczał, jeszcze oszołomiony tem nagłem zajściem, oficer blachę tę ręką mu wskazał:

— Na blasze tej ojców bohaterstwo splamiłeś sromem. Weź ją i chodź ze mną, bo dużo twojej krwi trzeba, zanim ją zmyjesz i oddać będziesz mógł tej matce, która ci ją dała.

Na wzmiankę sromu młodzieniec, jak strzałą ugodzony, podskoczył.

— Milcz, na Boga! Nie rzucaj mi sromu w twarz, bo zapomnę, żeś brat!

— Tyś już dawno zapomniał i podeptał wszelkie węzły! Ja dziś nie jako twój brat przychodzę, ale jako zwierzchnik po zbiegłego żołnierza, jako brat po honor siostry! Chodź za mną!

— Nie! — odparł krótko Stanisław, zacinając się w uporze.

Konstanty jakby nie dosłyszał protestu, założył ręce na piersi i mówił dalej:

— Zostawiłeś za sobą kraj... Gniazdo, które cię wychowało... Kobietę, która ci oddała duszę. Poprzysiągłeś, że ziścisz te wszystkie nadzieje, a ja poprzysiągłem, że cię przeprowadzę przez wojny i pożogi całym i dzielnym... I oto cię tutaj szukać muszę, tutaj zastaję renegata.

Zachwiał się mu głos, ale wnet znowu stwardniał.

— Raz ostatni przychodzę po ciebie, raz ostatni przebaczam i podaję dłoń do powitania! Słuchaj. Jutro o południu pułk stanie do walki. Jutro o południu ty być tam powinieneś na stanowisku u sztandaru, i albo zapomnieć żądzy i wrócić do nas, albo zginąć z honorem... Nad rzeką spotkamy się z Anglikami. Gdzie? Trafisz, bo nasza trąbka grać będzie na ciebie... A teraz nie mów nic, ale pomódl się i opamiętaj! Raz ostatni mówię do ciebie jak kolega, raz ostatni! Pamiętaj i wracaj!

Stach otworzył usta i powtórzył równie twardo: „Nie!“ ale już oficera nie było w altanie...

O świcie kompania opuściła miasteczko. Gdy się Konstanty obejrzał, ujrzał na galeryi domu uśmiechającego się szyderczo Alcada, Mercedes pokazującą im pięść zaciśniętą. Takie było przyjacielskie rozstanie. O południu pułk się połączył z korpusem; idącym naprzeciw Anglików.

Pod gradem nieprzyjacielskich bateryi stawiano most na rzece. Piechota, zajęta tą robotą, padała gradem. Jenerał się niecierpliwił. Pułkownik ułanów, gładząc bujny wąs, uśmiechał się pogardliwie i z kul tych i z gniewu dowódzcy.

mami galicyjskiemi 10 przykazań, któremi każdy „Sokół" kierować się powinien.

W rubryce korespondencyi zamieszcza czasopismo powyższe następującą wiadomość z Koźla:

„W Pawowiźnie (Gnadenfeld) tutejszego powiatu, znajduje się sąd okręgowy. W jednej sąsiedniej wsi założono kasę pożyczkową. Na zebraniu mówiono po niemiecku. Sprawozdanie podano też do sądu w niemieckim języku. Sędzia (znany ze swej pedantycznej sumienności) nie chciał jednak związku sądownie zapisać, a to z tej przyczyny, że na zebraniu mówiono tylko po niemiecku, wiadomą zaś rzeczą jest, że większa część członków nie rozumie niemieckiego języka i zatem nie umie sobie przedstawić doniosłości podjętych obowiązków."

„*Nowiny Raciborskie*" zamieściły w Nr. 4 wstępny artykuł o żałobnej rocznicy trzeciego rozbioru Polski. Scharakteryzowawszy nieustającą łączność i braterstwo Szlązka z Polską i podniósłszy konieczność poważnego nastroju w roku żałoby, kończy szlązkie czasopismo artykuł swój okrzykiem nadziei w pomyślną przyszłość ojczyzny.

W rubryce „Z blizka i z daleka" zamieszczają „Nowiny Raciborskie" wiadomość następującą:

„W ostatnich czasach wydalono z powiatu raciborskiego pewną liczbę poddanych austryackich, bądź to Polaków, bądź Czechów. Wydalenie nastąpiło na podstawie rozporządzenia ministeryalnego, które nie pozwala osiedlać się stale osobom pochodzenia polskiego lub czeskiego w okolicach nadgranicznych, a które początkowo zastósowywano tylko do poddanych rosyjskich. Na pewien czas, przelotnie wolno tu zamieszkać wymienionym wyżej osobistościom, ale też tylko za pozwoleniem naczelnego prezesa."

„*Dziennik Kujawski*" (Nr. 6) w referacie z posiedzenia towarzystwa kat. nauczycieli na Inowrocław i okolicę, taką zamieszcza uwagę:

„Należy z ubolewaniem nadmienić, że dużo nauczycieli w powiecie trzyma się z niezrozumiałych powodów z dala od towarzystwa. Brak cywilnej odwagi jest podobno główną tego ujemnego objawu przyczyną. Śmielszych, którzy już zamierzali do towarzystwa przystąpić, odstręczył nowy, nieprzyjazny prąd, który od pewnego czasu z pewnych sfer ku nam wieje."

„*Gazeta Grudziądzka*" publikuje w Nr. 4 następujące zdarzenie z dziedziny szkolnej:

„Jeden z Niemców, który jest nauczycielem w polskiej wiosce niedaleko Grudziądza, żyje w ciągłej obawie, że go zabiją ojcowie za surowe postępowania z ich dziećmi, które nic nie rozumieją z nauki i nic też z niej nie korzystają. Zapytany o powód, dla czego się źle z dziećmi obchodzi, odpowiedział: „Państwo nie macie wyobrażenia, jak z niecierpliwić może taki dzieciak, gdy mu się ciągle coś powtarza, a on nie rozumie."

— „Dla czegoż więc pan nie wytłomaczysz tego po polsku?"

— No, miałbym ja od inspektora! I tak już dosyć znoszę, bo wymagania jego odemnie są czemś niesłychanem (unerhört)."

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Il Pensiero Slavo*", organ Słowian południowych, wychodzący w języku włoskim w Tryeście, porusza w artykule pod nagłówkiem „La solidarito slavo" kwestyą solidarności słowiańskiej i pisze:

„Słowianie są największą i najsilniejszą rasą w Europie; mimo to z wyjątkiem jedynej Rosyi, stanowisko zajmują subordynacyjne. Takiem jest ich położenie w Austryi, gdzie się znajdują w ogromnej przewadze liczbowej, podrzędnem jest ich znaczenie w Serbii i Bułgaryi, chociaż obydwa państewka są niezawisłe i tylko przez Słowian zamieszkałe. Cóż bowiem im po niezawisłości, kiedy jej w polityce nie posiadają, kiedy kierunek polityki jest niesłowiańskim! I Rosya nie była wolną od wpływów niemieckich; pierwszym z carów, który stanął na gruncie czysto rosyjskim był car Aleksander III. (Tutaj cały ustęp prokuratorya tryesteńska skonfiskowała. Przypisek tłomacza.)

Jeżeli się mówi o solidarności słowiańskiej, której potrzeba nam ze Słowianami poza obrębem naszej monarchii, to całkiem jest naturalnem, iż na myśli mamy li tylko solidarność duchową. Wśród Słowian w obrębie Austro-Węgier solidarność w danych razach może się objawiać i na polu politycznem. Wiemy o tem, że każdy z nas zmierzający do utrwalenia solidarności w akcyi politycznej, nazywają przeciwnicy nasi panslawizmem. Mimo to nie mamy powodu żadnego wypierać się panslawizmu. Aspiracye nasze są zgodne z ustawami konstytucyjnemi; dążąc do ich urzeczywistnienia nie wychodzimy, ani nie zamierzamy wychodzić poza granice prawa, nie posługujemy się ani w przyszłości posługiwać się będziemy środkami niedozwolonymi przez konstytucyą.

Jeżeli przeciwnikom naszym podoba się aspiracye te nazywać panslawizmem, to czemuż wypierać się tej nazwy? *Panslawizm polityczny jest utopią i nikomu się nie śni do niego dążyć?* (Il panslawismo politica è un' utopia o nessuno si sogna d'aspirarvi) — *ale panslawizm duchowy może być utopią tylko dla umysłów ciasnych.* Nasze dążenia panslawistyczne nic idą dalej, jak każde gimnazyum włoskie w Austryi powstające w pewnej solidarności duchowej z Włochami. Dalecy jesteśmy tutaj od aluzyi do irydentyzmu. Studyując historyę włoską i literaturę, pielęgnuje się ową solidarność duchową, o której mówimy.

„Żądamy od Słowian wzajemnego poznajamiania, zbliżania się ku sobie na polu literatury, cywilizacyi, specyalnie sztuki. Jeżeli to się nazywa panslawizmem, to nazwa odpowiada rzeczy i chętnie pozwalamy nazywać się panslawistami.

* *

Chorwacki „*Obzor*", organ stronnictwa Strosmajerowskiego pisze o potrzebie zbliżenia się Chorwatów i innych Słowian, co następuje!

„Przywódzcy stronnictwa, nazywającego się u nas stronnictwem prawa (Stranka prava) sądzą, że w naszym programie narodowym nie potrzeba uwzględniać idei słowiańskiej, bo tym sposobem zrażamy ku sobie Madziarów. Jest to nieprawda. Madziarzy czują się silnymi, nie potrzebuję nas, my zaś silnymi możemy być tylko wówczas, jeżeli przeciw nim do walki wystąpimy jako Słowianie.

„Chorwaci, Serbowie i Słowińcy mówią jednym językiem, bo małe różnice językowe pomiędzy Słowińcami a nami można bez wielkiego wysiłku przy wspólnej woli dobrej usunąć. Choć Chorwaci, Serbowie i Słowińcy jeden wspólny mają język, przecież posiadają trzy centra kulturne — Zagrzeb, Białogród, Lublane — i trzy literatury niezawisłe od siebie. W Lublanie wiedzą jeszcze, co się dzieje w Zagrzebiu, ale Zagrzeb i Białogród murem chińskim są przedzielone. Choćby Serbowie i Chorwaci wspólnie działali, byłoby ich mało, ale podzieleni na dwa organizmy są małymi mikroskopijnie.

Dzięki ich zdolnościom naukowym i podziwienia godnej pracowitości, kultura czyni we wszystkich trzech centrach znaczne postępy, szczególnie w Zagrzebiu. Pielęgnując jedność i zgodność w działaniu moglibyśmy wytworzyć literaturę kwitnącą...

W tych dniach teatr białogrodzki zaprosił na uroczystość jubileuszową dyrekcyą teatru zagrzebskiego i kilku artystów chorwackich. Zagrzeb, choć gdzieindziej pojmuje solidarność słowiańską, na to zaproszenie wcale nie odpowiedział. Nie jest to fakt odosobniony owej nieuzasadnionej i śmiesznej niechęci ku Serbom, i wiemy o tem dobrze, jakie to zdarzają się objawy nienawiści. Naród serbski i chorwacki jest jedynym narodem, noszącym dwa nazwiska, dla tych nazw nie powinniśmy wzajemnie się nienawidzić.

* *

O prześladowaniu czeskich księży w Istryi,

— Jenerale, dajno moim zuchom pohulać! Zakneblują oni pyski tym gadułom!

— Ba, ale jak?

— Jak, to moja rzecz i ich. Czekam rozkazu do tańca.

— Masz go, chociaż nie pojmuję...

Francuz nie dokończył. Pułkownik spiął konia i ruszył ku swoim. Zagrały trąbki i rozległ się szalony okrzyk. Jak potomkowie skrzydlatej husaryi, runęli naprzód szalonym pędem. Dopadli rzeki, spięli konie ostrogami i prażeni kulami skoczyli w nurty.

Szyk się zmieszał na chwilę, zerwany prądem, potem wynurzyły się spienione łby, zagniotne twarze, nad niemi las proporców. Płynęli jak ławica delfinów.

Pierwszy zgruntował kasztan oficera, który do szyi przygięty, nie oglądając się, popędził dalej na bateryę. Nim Anglicy mieli czas się opamiętać, ten jeden pierwszy dopadł armaty. Kanonier, cięty przez głowę, zwalił się, plując krwią, drugi dostał strzał pistoletowy w piersi, trzeciego już koń tratował. Rzucono się na szaleńca, posłyszał wokoło głowy deszcz kul, ale już ułani dobiegali bateryi i wsiedli na karki, kłując, siekąc, jak huragan waląc wszystko po drodze.

Armaty ucichły. Piechota rzucała ostatnie przęsło mostu, wojsko ruszyło w pomoc swoim. Czas był. Ułani klinem wbili się między główny korpus angielski i powstrzymani murem bagnetów, siekli i bili się jak osaczony odyniec. Cofać się nie mieli zwyczaju i topnieli, zalani czerwoną ćmą piechurów.

Ale oto pułk po pułku mijał most i zdemontowane armaty, rzucał się w wir bitwy. Walka zawrzała na wszystkich punktach. Wieczorem opadły dymy. Angielskie niedobitki poszły w rozsypkę, gnane przez zawziętych ułanów.

Zwycięzkie pułki defilowały przed sztabem, zbierając laury, wykrzykując ile siły. Ostatni byli ułani. Przywlekli pod stopy wodza zagwoździone działa, znieśli pęki zdobytych chorągwi. Sami osmaleni, zdziesiątkowani, potrząsali skrwawione proporce i sztandar swój kulami porwany, szmatę bezkształtną, pochylili przed wodzem. Kazał im stanąć. Podjechał pod front.

— Kapitan Konstanty! — zawołał.

Oficer wysunął się naprzód i, salutując, czekał rozkazu.

Jenerał odpiął swój krzyż z piersi i przypiął go do podartego munduru.

— Majorze Konstanty, przyjm moje podziękowanie. Gdybym mógł, zrobiłbym cię dzisiaj marszałkiem Francyi. Nie wątpię, że nim kiedyś zostaniesz.

— Niech żyje jenerał! — rozległo się z tysiąca piersi.

— Niech żyje cesarz! — poprawił jenerał.

— Niech żyje! — powtórzono chórem.

Nastąpiły dalsze odznaczenia, pochwały, rozdawanie orderów. Konstanty cofnął się na swe miejsce. Późno w noc trwały okrzyki, wrzawa, ruch gorączkowy.

Nikt o śnie nie myślał. Zabici potrzebowali grobów, ranieni opatrunku, zdrowi i cali wina i pożywienia.

Tak ta noc zeszła w upojeniu tryumfu.

O świcie, gdy zebrano prowiant i załatwiono grabarską i lazaretową czynność, a wojsko biwakowało, warząc strawę, zameldował się Konstanty u pułkownika i poprosił o urlop na dwa dni.

— Cóż to? Ranionyś, zuchu?

— Nie. Bóg nie chce mnie brać — odparł posępnie.

— Ejże! Wie, co czyni! Cóż więc innego? Romansik? hę?

— Nie.

— No, no, nie nalegam i szanuję tajemnicę. Masz swoje dwa dni urlopu. Rób sobie z niemi, co chcesz, tylko nie oddalaj się zbytnio i wracaj nam cały.

Konstanty podziękował i wyszedł. Nie wstąpił nawet do obozu, tylko prosto z tego posłuchania, od namiotu zwierzchnika zawrócił między pola kukurydzy i w nich przepadł.

gdzie liczne istnieją kolonie czeskie, piszą „*Večerne Noviny*“, wychodzące w Pradze:

„Nie można sobie wystawić, na jakie prześladowania bywają w Istryi narażeni księża słowiańscy, którzy opierają się tendencyom wynarodowienia Słowian na rzecz narodowości włoskiej. Na księży posądzonych o słowianofilizm rzuca motłoch włoski kamieniami, a zdarzają się wypadki, że do księży takich strzelają Czem dalej tem gorzej. Stosunki znacznie się pogorszyły, odkąd piskupem w Porzeczu został Flapp, znajdujący się całkiem pod wpływem irydenty. Od chwili objęcia rządów dyecezyi przez niego nie został mianowany ani jeden Słowianin proboszczem; kanonikami są najżarliwsi Włosi i umyślnie sprowadza się do parafii słowiańskich księży włoskich, po słowiańsku nic nie umiejących. Pisma żydowsko-liberalne, jak „Corriere di Gorizia“ nazywają biskupa liberałem i nazywają go swoim.

„Wielu już księży słowiańskich pomarło ze zgryzoty, wielu opuściło parafie nie mogąc się wobec ciągłej agitacyi motłochu i dyscyplinarnych środeczków biskupich ostać.

„Z powodu tych prześladowań księży słowiańskich interpelować będą rząd posłowie chorwaccy dr. Leginja i Spincic...

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Praca kobiet i stowarzyszenia zawodowe.

(Dokończenie.)

Widzimy więc, że do rzemiosła wtargnął dziś kapitalistyczny podział pracy, układając stosunki na niekorzyść kobiet. W tych bowiem zawodach, w których pracują przeważnie lub wyłącznie kobiety, jak w kwiaciarstwie, szyciu sukien lub bielizny wytworzył małą garstkę pracownic, znających cały fach, uzdolnionych i pobierających dzięki temu wysokie płace, w innych zaś, gdzie zostały one dopuszczone do zawodów męzkich spełniają roboty łatwiejsze i mniej płatne. Tak jest w rękawicznictwie, gdzie należy do nich szycie rękawiczek, krój zaś znajduje się zwykle w ręku mężczyzn. W szewctwie obok nielicznych wykwalifikowanych szewcowych zajęte są przeważnie obszywaczki, które rzemiosła właściwie nie zdają, bo do wyuczenia się nie dopuszczają ich i zadawalniać się w skutek tego muszą niską płacą.

Ale ten sam gospodarczy rozwój wykazał konieczność masowego zajmowania kobiet w rzemiośle i z niektórych gałęzi, jak z szycia i kroju sukien i bielizny wypiera mężczyzn. Rzemieślnicy pogodzić się już dziś musieli z faktem pracy kobiet, korzystnego dla nich poniekąd, gdyż przedstawia tanią siłę roboczą. Pogodziwszy się przecież, skłaniają się do zorganizowania ich w rzemieślnicze zgromadzenia, które aż dotąd są jedyną dozwoloną formą stowarzyszania się dla ludności zajętej w przemyśle.

W dawnej organizacyi cechowej w Polsce kobiety dopuszczone były niejednokrotnie do cechów, ale nie jako samodzielne wytwórczynie, tylko jako wdowy po mistrzach, którym dozwalano w dalszym ciągu prowadzić proceder męża, bez prawa przyjmowania uczniów. Wychodząc powtórnie za mąż, za ludzi innego rzemiosła, dawne porzucić musiały, nie wolno było bowiem wykonywać dwóch fachów tej samej jednostce gospodarczej. Jako samodzielne rzemieślniczki, wykwalifikowane tak samo jak ich towarzysze rzemieślnicy, występowałyby przeto po raz pierwszy w cechach w Polsce. Pomysł przyjmowania kobiet do cechów powstał w roku zeszłym wśród krawców. Ponieważ ustawa cechowa z 1816 r., do jakiej aż dotąd stosować się muszą rzemieślnicy nasi, nie przewiduje pojawienia się w cechu tego nowego elementu i nie zawiera wyraźnego zakazu by go nie przyjmować, więc chodziło raczej o kwestyą formalną, która przez urząd miejski rozstrzygniętą być mogła.

Krawcy nasi są przecież ostrożni. Kobiety do cechu dopuścić należy, bo zastęp szwaczek i przedsiębiorczyń, utrzymujących pracownie jest tak liczny, iż mogą one bardzo ważny element w cechu stanowić, a same z pomocy jego w razie choroby korzystać. Zresztą cechy zawsze dążyły do usunięcia t. zw. fuszerów, t. j. rzemieślników niecechowych. Nie zapominają przecież panowie rzemieślnicy, że białogłowie w publiczne sprawy wdawać się nie godzi, było tak zawsze i wspólna praca na jednem polu nie powinna zmieniać tego zgodnego z naturą stanu. To też w podaniu swem o przyjmowanie kobiet do cechu, zastrzegli, że kobiety nie będą miały prawa głosu, ani obieranemi na urzędy, ani wyborcami być nie mogą.

Owo pozwolenie zatem jest tylko półprawem, które właściwie na dolę kobiet mało wpłynie, zależeć bowiem będą zawsze od cechowej starszyzny, obranej bez ich woli. Jak się zdaje inne cechy chcą na tych samych warunkach przyjmować kobiety. Tymczasem dyskusye nad stosunkiem kobiet do cechów z pojedyńczych zgromadzeń przeniosły się do warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, instytucya, gromadząca techników, chemików, rolników, handlowców, rzemieślników, słowem zawodowców wszelkiego rodzaju, zakłada po różnych miastach państwa swoje filie. Te zajmują się teoretycznemi i praktycznemi interesami stanów i fachów, do jakich należą ich członkowie, dając sposobność do wygłaszania opinii w różnych gospodarczych sprawach. W królestwie filie takie istnieją dotąd w Warszawie i w Łodzi.

Aż dotąd Towarzystwo w liczbie swoich członków liczyło tylko mężczyzn, ale w bieżącym roku otworzyło swoje podwoje i dla kobiet, które zapisały się tu w liczbie 11, tworząc delegacyą, która zajmować się ma warunkami pracy kobiet. Pierwszą kwestyą, jaka nastręczyła się delegacyi była sprawa przyjmowania kobiet do cechów męzkich, sprawa, która wkrótce dla wszystkich rzemiosł pomyślnie rozstrzygniętą zostanie.

Warszawskie zgromadzenie krawieckie przyjęło dotąd 54 uczennic na prawach terminatorów, wyzwoliło po wytrzymaniu egzaminu czeladniczego 22 podmistrzyń, a po wpisaniu się do cechu 5 mistrzyń. Ostatnie w prawach i obowiązkach porównane zostały z majstrami cechowemi, z wyjątkiem wspomnianego już wyborczego prawa. W cechu szewckim wyzwolono również przed paru laty podmistrzynię, która wszelkim przepisanym warunkom uczyniła zadość. Na prowincyi cech szewcki przyjął bez żadnych trudności mistrzynię, która wykazawszy odpowiednie kwalifikacye założyła warsztat szewcki. Powstanie cechów mięszanych w tych zawodach, w których pracuje znaczna liczba kobiet jest przeto tylko kwestyą czasu. Obok nich przecież powstać muszą i cechy wyłącznie lub przeważnie kobiece w tych rzemiosłach, które aż dotąd tylko przez kobiety są uprawiane n. p. kwiaciarstwo. Za inicyatywą delegacyi kobiecej u Tow. pop. przemysłu i handlu kwiaciarki podpisały petycyą o pozwolenie zawiązania takiego cechu, a uczyniły to tem chętniej, że o ile z obawą pewną przystępują do cechów męzkich, o tyle dążność do utworzenia czysto-kobiecych zgromadzeń jest ogólną.

Przy zawiązywaniu cechu oprócz korzyść przewidzianych przez ustawy kieruje nie mi chęć do solidaryzowania się z konkurencyą fabryk żydowskich, które byt rzemieślników naszych

---

Tej samej nocy drzwi do miłosnego gniazda pięknej Mercedes i jasnowłosego dziecka północy otwarły się bez szelestu i wpuściły do środka — już nie zwierzchnika, ale mściciela. Zbieg zdawał się być przygotowanym na te odwiedziny. Siedział u stołu z głową na dłoni opartą, a na szelest kroków podniósł oczy, i spokojne, trochę mgławe spojrzenie utkwił w zczerniałem obliczu straconego przyjaciela.

Potem wstał, i zbliżając się nieco, rzekł drżącym głosem:

— Powiedziałeś tutaj przed paru dniami, że przychodzisz raz ostatni! Cóż mi teraz przynosisz?

— Ostatnią łaskę. Powinienem cię był denuncyować i pod strażą odprowadzić przed sąd wojenny, ztamtąd na plac hańby, gdzie na cię czeka stryczek dezertera. Przychodzę sam — jako sędzia i kat zarazem. Sztandar i przysięga onegdaj wzywały cię przezemnie do siebie — dzisiaj — w mojej osobie przychodzę po twoją krew!

Stach się zachwiał.

— Przychodzisz zatem jako morderca. Jestem bezbronny, nie zamknąłem drzwi nawet, nie uciekam!

— Bo czujesz się winnym i uznajesz słuszność mego czynu.

— Nie, ale, wbrew twemu wyobrażeniu, nie jestem tchórzem i nikczemnym. Nawet przed szaleńcem nie myślę się kryć i uciekać. Rzuciłem sprawę do gruntu nieuczciwą, bo mi honor bronił walczyć z opryszkami pod wodzą tyrana i mordować bohaterów patryotyzmu. Nie wrócę też do was!

— Kłamiesz swe pobudki. Rzuciłeś sztandar nie dla honoru, ale dla czarnych oczu zalotnicy.

— Milcz, to moja narzeczona!

— Narzeczona twoja jest daleko i czeka na ciebie. A tyś zdrajca i zaprzaniec! Dosyć tego, nie przyszedłem słuchać twych kłamliwych tłomaczeń! Ratowałem cię wszelkiemi siłami, kosztem czci własnej — naprożno. Teraz zgubiony jesteś i umarły. Na liście wojskowej podany jesteś za nieżyjącego. Tak zostanie, bo ja nie chcę, byś tam stał jako sądzony za zdradę i dezercyę. Kartę twoją utrzymałem czystą — i taką zostanie!

Śmiertelnie blady oficer wydobył pistolet i drżącą ręką nasypał prochu na panewkę. Oczy mu płonęły dzikim ogniem niczem już niecofniętej decyzyi. Stach rzucił się w bok nieprzytomny.

O szczęściu marzył, żyć chciał, instynktem zachowawczym wiedziony, porwał za szablę i ciął oficera przez ramię. Konstanty nie drgnął, jakby nie czuł razu. Podniósł pistolet i wypalił w pierś młodzieńca w chwili, gdy szabla dotykała go prawie.

— Mercedes! O, Jezu! — jęknął Stach, waląc się na wznak i chwytając za piersi.

Oficer opuścił pistolet i pochylił się nad nim. Już nie żył, tknięty jak gromem w samo serce. Mściciel dojrzał to, popatrzył chwilę z zastygłą martwotą twarzy, podszedł do posłania, ryngraf zdjął ze ściany, ukrył za mundurem i wyszedł z tego skrwawionego gniazda nieszczęsnego szału.

Szedł powoli, jakby czekał, że z domu Alcada wypadną zbrojni, zwabieni strzałem, i rozsiekają go.

Może pragnął tego, bo się widocznie ociągał.

Ale głuchego odgłosu nikt nie dosłyszał i Mercedes stroiła się właśnie na schadzkę z ukochanym, gdy tam w altanie trup tężał już, a czarny cień wykonawcy okrutnego prawa niknął w pustych winnicach...

* * *

Minęło dużo czasu. W dwóch dworach na dalekiej północy czytano chciwie urywane sprawozdania tytanicznych bojów, w myśli dążono za armią przez grody i rzeki, od klęski do zwycięztw, chwytano wieści i posłuchy — i z wiarą, czerpaną w modlitwie, czekano wciąż dwóch tułaczy.

Byli bezustannie na ustach i w sercach, widziano ich we snach, spodziewano się codzień.

Aż pewnego zimowego wieczora zakołatała

podkopują na każdym kroku. Taki przynajmniej nastrój panuje wśród kwiaciarek. Zależeć będzie od umiejętnego kierownictwa, czy taki wyłącznie, czy przeważnie kobiecy cech będzie się mógł należycie rozwijać, a wtedy i kwestya wyborów rozstrzygniętą być musi na korzyść kobiet.

Widzimy tedy, że gospodarcze stosunki bezwiednie niemal kierują u nas sprawą stowarzyszeń kobiecych, na tę samą drogę, na jakiej jest dziś już w Anglii. Jest to konieczność, wynikająca z samego faktu zawodowej pracy kobiet, gdy ona jest regułą, a nie wyjątkiem.

Dr. Z. D.

LITERATURA I SZTUKA.

Najnowsze dzieło Ibsena.

(Ciąg dalszy.)

Przemądrzała stara baba, która oczyszcza pomieszkania i sklepy z szczurów i innych brzydkich stworzeń, przybywa do domu, niosąc w koszyku nieodstępnego towarzysza — czarnego pieska i rzuca urok na Eyolfa swem opowiadaniem o „zwabianiu" szczurów.

ZNAHORKA. Mój mopsik i ja, oboje razem dokonujemy tego i — jak możecie państwo zauważyć, wszystko idzie jak z płatka. Poprostu przeciągam sznur przez obrożę i oprowadzam go trzy razy wkoło domostwa, grając na piszczałce. Gdy szczury posłyszą, muszą wyleźć z kątów i załuków, z głębi przegniłych komórek i dziur, muszą wyleźć wszystkie te małe kreatury.

EYOLF. I czy on je zagryza na śmierć?

ZNAH. Nie, bynajmniej. Idziemy do łódki; oboje razem, on i ja — one postępują w ślad za nami, duże szczury zarówno jak drobne szczureczki.

EYOLF (zaciekawiony). I co potem powiedz mi.

ZNAH. Potem odbijamy od brzegu; ja odpycham czołno wiosłem, grając na piszczałce, a mopsik płynie po za mną. (z iskrzącemi się oczyma) Wszystkie te pełzacze i czołgacze ciągną i ciągną za mną na głębokie wody, bo — muszą.

EYOLF. Czemu muszą?

ZNAH. Dla tego właśnie, że nie chcą, że nie chcą, że — śmiertelnie się boją wody. Dla tego to muszą w nią wskakiwać.

EYOLF. A czy topią się?

ZNAH. Wszystkie co do jednego. (trochę łagodniej) A tam wszystko jest tak spokojne, ciche i ciemne, jak tylko serca pragną tych milutkich stworzonek. W głębinach zasypiają snem bardzo długim, słodkim, a nikt ani nie nienawidzi ich, ani nie prześladuje, (powstając) Dawnemi czasy nie potrzebowałam wcale mopsa, muszę ci powiedzieć. Wtenczas zwabiałam je sama jedna.

EYOLF. A co, kogo zwabiałaś?

ZNAH. Ludzi. Przeważnie jednego...

EYOLF. (ciekawie) Kto to był? Powiedz mi!

ZNAH. (śmiejąc się). Był to mój własny kochanek, tak jest, mały serc pogromca.

(Być może, że pod kochankiem znahorki — śmierci, autor ma na myśli ducha wiary chrześciańskiej.)

EYOLF. A gdzie on się teraz znajduje?

ZNAH. (surowo). Tam w głębi, gdzie wszystkie inne szczury.

Chłopak wymyka się z domu w ślad za znahorką, i, wszedłszy na most wrzynający się w morze, spogląda za jej łódką, jak dowiadujemy się później, przez krawędź, podczas, gdy wiedźma wiosłuje przez fiord. Wypadek cały zaznaczony jest kilku niezrównanemi rysami. Naraz dochodzą zmieszane głosy rybaków i ludu wiejskiego. Ktoś topi się! Dziecko! Chłopiec! Matka odgaduje pierwsza całą prawdę. „Pozwólcie mi posłyszeć ich słowa" — woła Rita. Słowa, które dochodzą jej uszu, a powtarzają się kilka razy, brzmią: „kula pływa." Odtąd Alfred i Rita skazani są pędzić życie samotne w towarzystwie dwóch furyi: niezgody i wyrzutów.

W mistrzowskim akcie drugim znajdujemy wszystkie główne rysy tragicznego położenia Allmersów, oraz tysiące subtelnych półtonów tych wysoko nastrojonych dusz. Rąbek welonu osłaniającego ich stan duszy uchylił się poprzednio, teraz zasłona spada zupełnie; poczynają skalpelem rozcinać swój ból i swe piersi wzajemnie. Allmers zbliża się do siostry, z którą cicho spędził lat wiele, zanim poślubił Ritę, a oddala od żony. Zrazu Eyolf tylko zaprząta jego myśli. Gdzie on jest obecnie? Czy śpi opodal brzegu? Albo może podwodne prądy uniosły go dalej, w głębsze łożysko fiordu? Wnet wszakże poczyna tęsknić za życiem przy boku siostry, marzy niejasno o usunięciu się od żony i odrodzeniu własnem, jakby popęd samozachowawczy podszeptywał mu zrzucenie jarzma bólu i pragnienie innej atmosfery. Niekiedy myśl jego zawadza o rzeczy trywialne, jak n. p. co będzie jadł na obiad, aby w końcu powrócić do tego, co szczegółowo go zajmuje t. j. nie śmierci dziecka, lecz stosunku do żony. Małżonkowie winę spędzają na siebie wzajemnie. „Głupstwo (woła żona) miłość twoja do dziecka była czysto egoistyczną — niczem innem jak pewną fazą w umysłowym rozwoju."

RITA. Spojrz w siebie! (z pewnym wyrazem niepokoju) Przeszukaj wszystkie te kłamstwa i ukryte motywy twych czynów.

ALLMERS. (unikając spojrzenia). Wzdrygasz się przed powiedzeniem mi czegoś.

RITA. Ty tak samo masz coś na sercu.

ALLMERS, (patrząc na nią zamyślony). Jeźli tak jest w istocie, to nie posiadaliśmy naszego własnego dziecka.

RITA. Nie, nie w skończonej miłości.

ALLM. A tymczasem gorzko biadamy nad jego stratą.

RITA (sarkastycznie). Tak nie jestże to dziwnem, że opłakujemy tak bardzo obcego nam chłopca.

ALLM. (z wybuchem). O! nie nazywaj go obcym.

RITA (smutnie potrząsając głową). Nigdy nie udało nam się przykuć tego chłopca do siebie. W każdym razie mnie nie — i tobie także nie.

ALLM. (załamując ręce). Teraz niestety zapóźno, zapóźno...

RITA. A z nikąd pocieszenia — znikąd.

Allmers ze swej strony jest niemniej bezlitośnym i brutalnym. Zdziera osłony z konwencyonalnych kłamstw i utrzymuje, że Rita namiętności poświęciła miłość macierzyńską. Adam zwala winę na Ewę, Ewa na Adama jak w Utraconym raju Miltona. Oboje w zarzutach mają słuszność. Autor śmierci Eyolfa nie kładzie wyłącznie na karb tego, że Rita *chciała* jego nieistnienia, lecz wini oboje za to, że kochali syna egoistycznie, każdy na swój sposób. Za to postradali raj. Jak go zdobyć? Mają uczucie jakby odkupienie winy lubo zapomnienie o niej było możebnem. Alfred przychodzi sam do przekonania, które tkwiło w nim przez cały ciąg pierwszego aktu, po powrocie z gór, których widok natchnął go idealnie, — że popęd zmysłowy powinien między niemi zamrzeć na zawsze.

---

dłoń zmęczona do drzwi i człowiek samotny, szronem okryty, wychudły i czarny od mąk niezliczonych, stanął w progu.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił trzy kobiety, co nie poznały ni brata, ni narzeczonego młodzieńca w tym chudym, wyniszczonym mężczyźnie.

Dopiero go głos zdradził i odkrył.

— Konstanty! O Boże!

I rzuciły się ku niemu. Ale wtem poszukały kogoś jeszcze drugiego za nim — i stanęły, jak wryte.

— A Stach? — spytały blademi usty.

Ułan głowę skłonił i w zanadrze sięgnął.

— Stach poległ śmiercią walecznych na polu chwały i tylko ryngraf, krwią jego zbroczony, wam odnoszę! — rzekł uroczyście — w ręce babki, matki dzielnych synów, oddając tę z pod Cecory spuściznę!

I było to jego trzecie kłamstwo, i już ostatnie.

Szły potem pułki na wyprawę daleką — i on poszedł. A ztamtąd nikt już kobietom-sierotom nie przyniósł o tym ostatnim wieści — i on już nigdy nie wrócił...

JAROGNIEW.

BOŻA MĘKA.

Słońce już dawno zniknęło za lasem dalekim, tylko został po niem na niebie szmat wąski, purpurowy, jakby słońce zachodzące wysłało jeszcze garść promieni, ciekawe, co ludzie mogą robić bez niego.

Wszystko wracało z pola do chat, — stary pastuch pędził bydło z pastwiska, ledwo mogąc podążyć za niem, tak spieszyło się do domu.

Włócząc za sobą nogi w ogromnych butach, przysiadał za każdym krokiem i ciągle podążał z jednej strony drogi na drugą; tam odpędzał zbłąkaną krowę od chaty, do której nie należała, tam odstraszył drugą, która wkradła się do ogródka, aby w przechodzie zerwać jeszcze kilka łęt kartoflanych.

— Hoł, hol, — wołał ciągle, a pies jego ustawicznem szczekaniem, starał się z nim porówno przyprowadzić porządek.

Co chwilę odrywało się od stada krów kilka, biegnąc w podskokach do chlewików znajomych, przed któremi już gospodynie czekały ze stołkami szkopkami do doju.

Fornalka Antoniowa wyszła właśnie z chaty, niosąc w jednej ręce stołek, w drugiej kubełek do mleka.

— Kaj bywaliśta, Zadrucha, tak długo, — zawołała do pastucha, szczerząc się do niego, — pewnośta dziewczętom zalecali się na polu.

— A ino, pewno wam markotno, ze nie do was?

— Jużci markotno mi śwarnego chłopca.

Pastuch udał, że nie słyszy słów jej ostatnich.

— Co wy, szczerzyta się do Zadruchy? — wyręczyła go w odpowiedzi włodarka.

— Mojego nie ma, to i cóże? — odparła rezolutnie Antoniowa, ustawiając stołek przy krowie.

Zarzuciła jej jeszcze przedtem zielska, aby spokojnie stała i zabrała się do dojenia.

Siwuchą Janowej, chałupnicy, biegła na samem czele stada; chata jej pani stała na krańcu przeciwległym wsi. Janowa miała jedyną krówkę, małą i niepozorną, ale za to wyborną dójkę.

— Siwucha Janowej to galantna dójka, garniec mleka na jeden udój to u niej nic, — mówiły o niej baby we wsi z uznaniem.

Tymczasem siwucha biegła, oddalając się coraz bardziej od stada: z chat wypadały pie-

ALLM. Miłość była jakoby płomień. Teraz musimy go przytłumić

RITA (z żywym giestem ręki). Przytłumić!

ALLM. (poważnie). Jest on już przytłumionym — w jednym z nas.

RITA (jakby uderzona gromem). Jak śmiesz to mówić do mnie.

ALLM. (łagodnie), Tak jest Rito. Jednakże w mych uczuciach ku tobie — w naszem wspólnem przewinieniu i pragnieniu oczyszczenia — przewiduję jakieś zmartwychpowstanie.

RITA (gniewliwie). Nie dbam ani trochę o zmartwypowstanie.

ALLM. Rito!

RITA. Jestem stworzeniem o gorącej krwi i daleką od pędzenia życia w półśnie, bo — w żyłach mych nie płynie krew rybia. (załamując ręce) Teraz jestem przykuta na całe życie — męką i wyrzutami — przykuta do człowieka, który więcej do mnie nie należy, nie należy.....,

Tu następuje scena, która w nagiej swej realności jest bodaj bezprzykładną w poważnej literaturze dramatycznej i w rękach innej miary pisarza byłaby trywialną.

Allmers widząc, że dalsze pożycie z żoną staje się niemożliwem, chce zamieszkać przy siostrze, do której przywiązanie jego przechodzi niewyraźnie granice braterskich węzłów.

„Nie — mówi Asta — to być nie może. Ojciec twój nie był mym ojcem, a ja nie jestem twą siostrą.“

Gdyby Asta była Rebeką West lub Heddą Gabler, byłaby gotową subtelna komplikacya, lecz Asta niema w sobie „nerwu“, który według zdania Ibsena skierowuje potok uczuć ludzkich gdziebądź bez względu na ludzką wolę. Akt zatem kończy się [illegible] wyznaniem uczuć z jej strony, oraz postanowieniem wyrzeczenia się Alfreda.

W akcie trzecim przybywa Borgheim, młody inżynier, „torujący drogi“, którego obecność w poprzednim akcie Rita napróżno kusiła się zużytkować do wywołania w mężu zazdrości. Pełen energii i wiary w siebie młody człowiek kocha się w Ascie, która, postanowiwszy opuścić dom Allmersa, sposobi się do drogi. Sympatyzuje ona z inżynierem i jego zawodem, lecz uczucie to jest dalekiem od miłości. Zresztą instynktownego popędu nie zdaje się ona pojmować. Szczytem szczęścia jest w jej oczach stosunek, jaki łączył ją z Alfredem, zanim tenże ożenił się, bo obfitował w niewinne, naiwne i subtelne blaski radości. Jednakże teraz odczuwa w oku Alfreda niewyraźną trwogę. Allmers zaś spragniony czystego, niemateryalnego związku, opartego na wzajemnem zrozumieniu się dusz i harmonii, pragnie zatrzymać ją pod swym dachem. Autor wszakże suggestyonuje z przedziwną finezyą, że Alfred, aczkolwiek bynajmniej nie zdaje sobie z tego sprawy, mógłby pokochać Astę miłością nieplatoniczną i Asta, w swej kobiecej przenikliwości, odczuwa to.

ALLMERS. Musisz przyrzec, że wkrótce powrócisz.

ASTA. Nie, nie mam odwagi przyrzekać tymczasowo.

ALLM. A więc — niech i tak będzie. Wnet zatem spotkamy się w mieście.

ASTA (błagająco). Lecz Alfredzie, musisz przecież teraz pozostać w domu z Ritą!

Allmers nie daje na to odpowiedzi, bo myśli o rozstaniu się z Ritą!

Czytelnik mógłby zakwestyonować powyższe objaśnienie stanu uczuć Allmersa, bo, przecież mimo rzucanych sobie wzajemnie wyrzutów, stosunek jego przyjazny z Ritą trwa niezłomny. Dlaczego zatem zanika w nim wszelki popęd do tej pięknej osoby, z którą spędził lat wiele? Przywiązanie ich bowiem było dotąd oparte li tylko na zmysłach, zresztą nie mieli z sobą nic wspólnego. Tymczasem wycieczka w góry, zapoczątkowała w umyśle jego zwrot zasadniczy. Śmierć dziecka, poczucie wspólnej winy, przepaść pogłębiło, a narzucające się zachowanie Rity, delikatne uczucie jego dotknęło do żywego. Zdaje się, jakbyśmy słyszeli tu Ibsena mówiącego: „gwałcono jego w o l n ą w o l ę.“ U jednostki tak wysoko nastrojonej, tak uduchowionej, popęd fizyczny może wzniecić się dopiero, gdy dusza jego zagości w duszy kobiety. Autor wogóle stawia za *conditio sine qua non* domowego szczęścia zupełną harmonią dusz, idzie nawet tak daleko, że uważa taki związek małżeński za zupełnie normalny, w którym nie gra roli wzgląd na zmysły, lecz tylko zbratanie duchowe. Nalegania Allmersa i osamotnionej jego żony na Astę, aby pozostała, odnoszą ten skutek, że gdy parowiec ma odchodzić, pyta się Borgheima, czy chce jej towarzyszyć.

ALLMERS. Wydaje się, jakbyś ratowała się ucieczką.

ASTA (z tłumionym niepokojem). Tak jest, r a t u j ę się ucieczką.

ALLM. Ucieczką przedemną?

ASTA (szeptem). Przed tobą i — przed sobą.

Złączona z nim duchowo Asta, czuje, że to przebywanie z Alfredem w wspólnej krainie myśli, mogłoby ją pociągnąć dalej, aniżeli wzgląd na Ritę pozwala.

(Dokończenie nastąpi.)

Nobody.

Psychologia powodzenia.

(Podług Scipiona Sighele).)*

Znaną jest anegdota o pewnym sławnym adwokacie, który widząc raz, że go tłum oklaskuje, przerwał swą mowę i zawołał:

— Co znaczą te oklaski? Czy głupstwo jakie powiedziałem?

Podobnie jak ów dumny i dowcipny mówca jest zapewne niemało ludzi na świecie, którzy gardzą sądem tłumu i stosują do siebie arystokratyczną zwrotkę poety:

„To tylko mi się podoba, co nie przypada do smaku nieokrzesanemu gminowi...“

Ale, czy ta pogarda jest też istotnie szczerą?

Pominąwszy nie wiele rzadkich, wyjątkowych przypadków patologicznej mizantropii, wątpię o tem. Dla pozy może lub snobizmem kierowany ten i ów „arystokrata ducha“ — obdarzy pogardliwem „filistrów“ mianem wszystkie nieznane mu indywidua, składające się na zbiorową całość, zwaną większością. W gruncie rzeczy jednak „filister“ otaczany bywa szacunkiem i obsypywany pochlebstwy, gdyż nikt inny, tylko on daje palmę tryumfu i wieniec sławy wkłada na skroń swego ulubieńca. Zyskanie za jakąkolwiekbądź cenę poklasku jest dziś rzeczą powszechnie poszukiwaną i uprag-

*) Scipion Sighele, młody włoski uczony, oddający się specyalnie studyom nad systemem teraupetyki i represyi w zastosowaniu do nowych doktryn kryminalistyki włoskiej zwrócił na siebie ostatniemi czasy powszechną uwagę zwłaszcza oryginalnemi pracami w dziedzinie psychologii i suggestyi. Klasyczne dzieło jego „La Foule criminelle“ (zbrodniczy tłum), przełożone w lot na wszystkie prawie europejskie języki, w radykalny sposób zmienia dotychczasowe pojęcia o zbrodniach lub raczej wybrykach tłumu i wytworzyło już nawet odrębną szkołę kryminalistyczną. O „fizyologii“ powodzenia — pisał S. Sighele w jednym z ostatnich zeszytów paryzkiej „La Revue des Revues.“

---

ski małe i szczypały ją po nogach, — wtedy nadstawiała im rogów, broniąc się w ten sposób od natrętów. W końcu stanęła przed zapartą furtką w okólniku, który otaczał chatę Janowej. Zaryczała, jakby wołając gospodyni, i oglądała się wkoło, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

Zamknięte wszystko? To ją niepomiernie dziwiło. Na jej powrót czekała już zwykle Janowa, a przed chlewikiem leżała wiązka zielenizny w płachcie szarej, przysposobiona dla poczciwej siwuchy. Krówka zaglądała ponad opłotkami, czy nie obaczy leżącego przed chlewikiem zielska. Doprawdy nie ma. Obejrzała się więc w lewo i w prawo i zaryczała żałośnie.

Byłaby dzisiaj długo czekała, gdyby nie wracająca z pola Staśka, córka Janowej. Wracała w gronie dziewcząt od dworskiej roboty; z daleka było je słychać po pieśniach wesołych, któremi rozbrzmiewał sobotni wieczór.

Każda z nich przy swojej zatrzymała się chacie. Staśka doszła w końcu sama do chałupy matczynej, stojącej na końcu wsi. — Grabie jej sterczały wysoko, trzymała je, jak żołnierz broń, na ramieniu oparte.

Zobaczywszy siwuchę, stojącą przed okólnikiem, i ona była zdziwioną nieobecnością matuli. Otworzyła furtkę i przytrzymała tak długo ręką, aż siwucha nie przebiegła jej, puszczając się cwałem z miejsca.

Potem weszła do sieni chałupy, powiesiła grabie na kołku, na ścianie i otworzyła drzwi do izby.

Na środku stał caganek oskrobanych kartofli, matuli nie było.

Pośli po zielsko pono, — mówiła do siebie.

Zrzuciła chustkę wzorzystą z głowy i przygładziła ręką potargane przy robocie jasne jak len włosy, upięte nisko. Potem spuściła fartuch, przewiązany dolnemi rogami w pasie, aby jej nie przeszkadzał przy robocie w polu.

W tej samej chwili zawarczał wóz fornalski przed chatą. Szybko przypadła z boku do okna i wyjrzała na drogę. Na wozie stał młody chłopak a przed jej oknami palnął dwa razy ze sążnistego bata; głowę przechylił przytem i zaglądał do jej okienka, pogwizdując jakąś piosenkę. Wracał już od stogu pono.

Schowana tak, że jej dojrzeć nie mógł, przyglądała mu się. Zaśmiała się w końcu do siebie, pokazując dwa rzędy białych, zdrowych zębów, otoczonych purpurowemi ustami.

— Swarny chłopczyna, a jużci swarny, — mówiła do siebie. — Potem ująwszy się pod boki, stanęła na środku izby w wyzywającej postawie.

Nie mogła mu zapomnieć, że wczoraj, gdy z nim układała snopki na furze, objął ją w pas i wycałował na oba policzki. Niby że wycałował, to jeszcze nic, ale tak przy wszystkich ludziach!

— A heretyk jeden, — a! — odgrażała się. — Czekaj, już ci sa odpłacę, wciorności cię wezmą.

— A jednak swarny chłopczyna — przyznała cichutko i z rozkosznym uśmiechem.

Wybiegła z chaty i namyśliła się chwilę, czy wydoić krowę, czy zostawić ją matuli.

— Kiej jak, — namyśliła się w końcu — bez zielenizny stać nie będzie, ni jak. Przystąpiła więc do opłotków i oparła się na nich, założywszy ręce na piersiach krągłych i wychylając się na drogę, czy nie ujrzy matuli. Nie było nigdzie widać Janowej, tylko na drodze od miastecyka zobaczyła starego Walentego. Wracał, dźwigając na plecach w koszu krytym zakupna.

— Cie, Cie, Staśka, znów chłopców wyglądasz?

Wyglądałam za wami, stęskniłam się już docna.

— Niech będzie pochwalony, — i przystanął przy opłotkach, zesuwając czapkę ciężką z czoła.

— Na wieki.

— Kiej się stęskniłaś, mogłaś przyjechać po mnie, choć w siwuchę swoją i taczką.

— Moglista przysłać telegramę, byłabym przyjechała.

— Taj ja pukał na szosie.

— Cie, ja myślała, że to grzmi pono.

nioną. A tylko „masa“ udzielić go może. Dokazać tego, iżby świat mówił o tobie i rozprawiał o twoich pomysłach, czy dziełach — to nietylko płytkie, zwyczajne marzenie nadętych próżnością miernot, ale to zarazem wielki, godziwy ideał najskromniejszych i najpotężniejszych myślicieli. Różnica, dzieląca te dwa rodzaje ideałów, leży jedynie w środkach, jakiemi się kto posługuje, aby dojść do wytkniętego celu.

Andrzej Sperelli, bohater Gabryela d'Annunjio, który tylko o tem marzy, aby wydać książkę w jednym egzemplarzu i zadedykować ją jednej jedynej kobiecie, iżby reszta świata nie wiedziała, co on napisał, to typ — może prawdziwy — ale z pewnością bardzo nieprawdopodobny i arcy wyjątkowy. Zdarzy się czasem, że ktoś, namiętnością porwany, dla jednej osoby polaryzuje całą swą moralną i intelektualną żywotność. Atoli, jak sama namiętność tak i to jest rzeczą egzotyczną i chorobliwą. Czas i lekarze pracują na leczeniem takich objawów patologicznych.

Każdy, kto nie jest szaleńcem lub dziwakiem, chce i pragnie, aby książka jego była czytaną, sztuka oklaskiwaną, obraz lub rzeźba podziwiane, pokłada bowiem w „filistrach“ nadzieję, że o pracy jego, myślach i walce przychylny werdykt wydadzą...

* * *

Publiczność zresztą, — czy kto chce, czy nie chce — jest Minosem naszego piekła... czy czyśćca ziemskiego. Ona to sądzi i wyrokuje w pierwszej i ostatniej instancyi, ale jej sposób sądzenia jest rozmaity, a tak samo sąd jej bywa mniej lub więcej dokładny i ścisły, w miarę tego, czy wydawany zbiorowo i jednocześnie, czy w odosobnieniu i w przeciągu czasu mniej lub więcej długiego. Chcę przez to powiedzieć, że publiczność wezwana do oświadczenia się o jakimkolwiek płodzie ducha, może być rozproszoną lub w jednem zgromadzoną miejscu, albo przedstawiać organizm zbity, nazywany tłumem.

Nie sądzi się nigdy o książce tak, jak o mówcy. Książka dostaje się do rąk czytelników rozproszonych, a każdy z nich w spokojnem zaciszu swego pokoju — może sobie sam z własnego popędu szczere wyrobić o niej zdanie. Przeciwnie, sztuki scenicznej słuchają razem zebrani widzowie, którzy na temat wartości utworu radzą się wzajemnie i doradzają sobie w sposób bezwiedny, tworząc zbiorowo potwór o tysiącu głowach, który zda się stawia biednemu autorowi straszny dylemat:

— Baw mnie, rozerwij, albo cię pożrę.

Rzecz jasna, że w pierwszym i drugim wypadku warunki sądzenia są odmienne. Któryż sąd lepszy?

Zanim na to pytanie odpowiem, zastanówmy się nad inną kwestyą.

Czy poddawałeś kiedy czytelniku pod analizę chemii psychologicznej owe niepohamowane wybuchy entuzyazmu, które w teatrze lub na sali zasypują nieraz huraganem oklasków koniec jakiejś dramatycznej sceny, lub ostatnie słowa płynnie wygłoszonej mowy? W takiej chwili publiczność sądzi i wierzy, że jest sprawiedliwą i szczerą, gdyż istotnie doznaje tego wzruszenia, które na zewnątrz oklaskami objawia. Czy jednak wyłączna w tem zasługa dramatu lub mówcy, który wprowadza słuchaczy — czy widzów w istny stan entuzyastycznego szału, czy też przeciwnie może — nie wchodzi tu w grę jakiś inny czynnik, który wywołał szumienie tego tęgiego wina?

Nikt nie przeczy psychologicznemu prawu i stwierdzonej po nad wszelką wątpliwość prawdzie, która orzeka, że siła wzruszenia rośnie w prostym stosunku do liczby osób, podlegających temu wzruszeniu w tym samym czasie i na tem samem miejscu.

Alfred Espinas w swem dziele o społecznościach zwierzęcych (Des sociétés animales), spróbował zjawisko to określić matematycznie. „Przypuśćmy — powiada on — że wrażenie, wywołane jakąś mową, można oznaczyć cyfrą 10 i że przy pierwszych słowach mówcy, przy pierwszym dźwięku jego wymowy, wrażenie to udziela się przynajmniej w połowie swej siły każdemu ze słuchaczów, których niechaj będzie 300. Indywidualna reakcya u każdego słuchacza objawia się w oklaskach lub w zdwojonym natężeniu uwagi, — i nastąpi to, co się w sprawozdaniach dziennikarskich nazywa poruszeniem (sensacyą). Poruszeniu temu ulegną wszyscy naraz, albowiem każdy słuchacz pozostaje również jak mówca — pod wpływem audytoryum i wyobraźnię każdego opanuje nagle widok tych trzystu osób, rażonych wzruszeniem, widok, który musi w nim, według dopiero co przytoczonego prawa — wywołać wzruszenie istotne, prawdziwe. Przypuśćmy, że on ulegnie tylko w połowie temu wzruszeniu — jakiż będzie wynik? Doznane przez słuchacza wrażenie — wyrażać się będzie w cyfrze — już nie 5, ale w połowie tej cyfry, pomnożonej przez liczbę wszystkich słuchaczy (300), — czyli w cyfrze 750.“

Obliczenie to starczy chyba za dowód, że wszelkie sądy z tłumu wychodzą fatalnie przesądzone, gdyż indywidualne wrażenie słuchacza podnosi się do najwyższej potęgi przez sam fakt współobecności innych indywiduów.

W tym wypadku jest liczba najważniejszym i głównym mnożnikiem powodzenia, którego sama wprawdzie nie stwarza, wszelako utwierdza je i podnosi do rozmiarów, nieraz zgoła nieprawdopodobnych.

* * *

Czytelnikom znany jest zapewne list Estery Balzaka, tego nieczułego i zepsutego dziecka, które pod wpływem miłości oczyszcza się i z upadku dźwiga, — list, pisany przez śmiercią do jej kochanka. Dziewczyna odbiera sobie życie, gdyż sprzedała się Nucingenowi dla Rubempré'a, cenę tego targu, 750,000 franków pozostawia swemu poecie, i choć stoi już nad grobem, — nie chcąc go smucić, żartuje:

— Kto też, jak mnie nie stanie, przyczesywać ci będzie przedział na głowie?

Powiadają, że Balzak, czytając ten list głośno, nie mógł powstrzymać łez, cisnących mu się do oczu ze wzruszenia.

Ileż to razy każdemu z nas — choć nie jesteśmy autorami, — zdarzyło się coś podobnego po przeczytaniu jakiego wznioślejszego ustępu.

Jednakże ta fala wzruszenia, która z wezbranego serca pochodzi i która, gdybyśmy się znajdowali w teatrze lub na sali tłumem publiczności zapełnionej, byłaby przez samą zaraźliwość doprowadziła w jednej chwili do szału oklasków, tak – rozlewała się wyłącznie po naszej duszy i między czterema ścianami naszego pokoju.

Autor książki nie widzi i widzieć nie może o tych odosobnionych objawach, bo nie zna tego rozproszonego tłumu, który go podziwia i uwielbia, — a tak samo jak nie słyszy głosów indywidualnych, tak też wspaniały, zbiorowy głos go nie dochodzi. On nie może być nigdy, — jak mówca lub autor dramatu, albo melodramatu ogniskiem, które zestrzeli i skupi w jednej chwili wszelkie wrażenia, doznane przez setki słuchaczy, z których każde znowu potęguje się stokrotnie w swej istotnej sile, przez sam fakt obecności innych słuchaczy, — i dla tego to Balzak, który bezprzecznie jest jedną z największych postaci naszego wieku, nie zakosztował nigdy tej gwałtownej i wzniosłej rozkoszy, jaką sprawia widok szalejącego z entuzyazmu tłumu, powalonego u stóp jednego człowieka, a jakiej zaznali inni, którzy nigdy nie byli tego warci.

* * *

Chłop zaśmiał się na całe gardło, i ruszając dalej, mruczał jeszcze do siebie.

— Pyskata dziewucha, — o! —

Staśka wyglądała dalej na drogę i namyślała się, co robić. Po chwili ode wsi zobaczyła gromadkę dzieci, wracających z gęśmi i trzodą do domu. I Antek, brat jej dziewięcioletni, był pomiędzy niemi, pędząc maciorę z licznem potomstwem, i może z tuzin gęsi.

— Antek, a matuś kaj, nie wiesz? – zawołała na niego z daleka.

— A kaj, pośli zielsko rwać.

— A czy idą do dom, nie wiesz?

— Juści idą.

Chłopak wpędził trzodę do chlewika i, smagając batem ziemię, stanął potem przed siostrą.

— Staśka, daj chleba — rzekł.

— A nie wiesz sam kaj jest?

Nie czekał drugiego wezwania, podskoczył do chaty i wyszedł po chwili z kawałem czarnego chleba.

Tymczasem Staśka rozmyślała: Kiej matuś niedaleko, taj wrócą w czas. A ja co tu stać będę, chyba po wodę poletę do studni.

Zdawało jej się to bardzo rosądnem, — zwłaszcza, że przy studni, kto wie... Uśmiechnęła się do siebie i po chwili już dźwigała na ramionach szuńdy z dwoma kubełkami do wody.

Idąc do studni, na dworskie podwórze, musiała przejść wieś całą, na której drugim końcu znajdowały się zabudowania folwarczne.

Gdy szła, za każdym jej krokiem kołysały się kubełki próżne w lewo i w prawo, targając przytem z głuchym szczękiem za łańcuchy, na których wisiały.

Gdy weszła na podwórze, aż jej serce zatłukło w piersi z radości, nie omyliła się w nadziei, przy studni już stał, czerpiąc wodę, Antek niecnota.

Miał nogawki tak podwinięte poniżej kolan, jak kobiety rękawy zawijają przy praniu. Pomimo zwinnej i zgrabnej postawy był niskiego wzrostu, a twarz jego, podobna do twarzy dziewczęcia, wyglądała tak, jak u chłopca lat kilkunastu.

Na usta Staśki chciał się koniecznie wykraść uśmiech rozkoszny, właściwie przebaczyła mu już wszystko, nie mogła jednak mu okazać tego.

— Wciorności cię wezmą — szeptała, schylając głowę, jakby go nie widziała wcale.

Za jej nadejściem właśnie odstawiał drugi kubeł nabrany, mógł już wracać do koni, trzymało go jednak na miejscu. Stał niepewny, czy zacząć rozmowę, czy też odejść i nie drażnić zagniewanej.

— A niecnota, pomyślała Staśka, umyślnie puścił drąg żórawia, który teraz wysoko wisiał w powietrzu, że ledwo dostać go mogła. Spięła się na palce i ręce wyciągła, jak mogła najwyżej.

Piersi jej przytem wypukłe, przykryte koszulą białą, wystąpiły naprzód i zdawały się posuwać wyżej; korale zabrzęczały krzyżami mosiężnemi i medalionikami, a wykrochmalona bielizna zachwaszczała na jej ramionach i piersiach.

Chłopakowi aż krew stęgła w żyłach, podskoczył i chciał jej pomódz.

— Idź precz, — rzekła, odwracając się od niego i odtrącając go łokciem.

— Czy to grzech, że ci chcę pomódz, abo co? — spytał, stając na boku.

— Grzech, kiej ja nie chcę, — odparła, zanurzając kubełek we wodzie.

— Taj cóż, ksiądz grzech odpuści, a ty nie?

— Juźci ja nie ksiądz.

Westchnął i stając na uboczu, między dwoma kubłami swemi, skubał róg krótkiej katanki.

Gdy już napełniła obydwa kubły i miała odchodzić, zachaczając łańcuch szuńd o pałąk żelazny, odezwał się w końcu:

— Staśka...

A cóże?

Przerwała robotę swą i stanęła wyprostowana, patrząc mu w oczy.

— Staśka, co ja ci zrobił, żeś taka pyszna i harda dla mnie, przecież...

Inna więc rzecz — działać na tłum w jednem zgromadzony miejscu, a inna — oddziaływać na rozproszoną publiczność. Co lepsze?

Z podmiotowego stanowiska sądząc, nie umiałbym powiedzieć. Odpowiedź zależy od temperamentu i usposobienia danej jednostki. Niektórzy lubią się rozkoszować i napawać krzykami tłumów, inni wolą w sposób pośredni odbierać świadomość podziwu i uwielbienia, jakiemi ich darzy publiczność. Mascagni i Zola mogą w równej mierze zadowolnić swą próżność czy dumę godziwą: pierwszy patrząc własnemi oczyma na epileptyczne ataki entuzyazmu, które porywają wiedeńczyków podczas przedstawienia „Rycerskości Wieśniaczej“ lub „Przyjaciela Fryca“, drugi, gdy od swego wydawcy Charpentier'a — otrzymuje wiadomość, że dzieło jego „La Debacle“ w przeciągu kilku miesięcy rozeszło się w liczbie stupięćdziesięciu tysięcy sprzedanych egzemplarzy. Oto dwa plebiscyty różne w objawach i formie, — podobne w skutkach i sile.

Ze stanowiska przedmiotowego nie ulega wątpliwości, że werdykt, wydawany przez publiczność rozproszoną, jest pewniejszy i bardziej zbliżony do prawdy.

Wykazałem już, że sąd tłumu bywa zawsze przesadzony przez sam wpływ liczby, która z konieczności podnosi dyapazon zdań indywidualnych, branych z osobna. Sądzę, że nie pomylę się, twierdząc, że sąd ten bywa też dość często błędnym. Psychologia zbiorowa rzadko kiedy powoduje się logiką i zdrowym rozumem. Sposobność, zbieg okoliczności, przypadek, nieświadomość sprowadzają najczęściej jej objawy. Jeden okrzyk, jeden gest, wykonany przez jedno indywiduum, zmusza do powtórzenia tego samego okrzyku lub gestu — wszystkich. Zaraźliwość oklasków — lub objawów niezadowolenia jest iście gromowładną, — tak jak u ptaków w locie najmniejsze uderzenie skrzydeł jednego wywołuje u wszystkich ruch analogiczny.

A wówczas wypływający w rezultacie z tego wyrok, który uważamy zwykle za sumę wszystkich sądów indywidualnych, — jest tylko sądem jednego — jedynego człowieka, który skutkiem ukrytego działania suggestyi — stał się nagle przypadkowym, chwilowym despotą dla całego tłumu.

„Odczuwam wstręt do tłumu — pisał biedny Guy de Maupassant — nie mogę po prostu wejść do teatru ani być obecnym na żadnem publicznem zebraniu. Napada mnie tam natychmiast dziwna niemoc, ogarnia nieznośne, straszne osłabienie, jak gdybym całą siłą walczył z jakimś wpływem. I walczę w rzeczywistości z duszą tłumu, która usiłuje na wskroś mnie przeniknąć...

Najbardziej znamiennem i zadziwiającem zjawiskiem, powstającem w tłumie, jest właśnie to zniszczenie odrębnych, indywidualnych osobowości i zlewanie ich w jedną — jedyną osobowość ogromną, a różniącą się od każdej z tych, które je składają. Możnaby powiedzieć, że każde indywiduum utraca swą zdolność myślenia i czucia, że staje się ślepem narzędziem jakiegoś nieznanego mózgu, nieznanej duszy. W tłumie każdy klaszcze i syka, woła *vivat* lub *pereat*, — niejako bez świadomości tego, co czyni. Wyprowadźcie tego człowieka z tłumu, wyrwijcie go z tego mrowiego roju, a sam pierwszy zdziwi się temu, co robił przed chwilą.

Dodajmy do tego uwagę, że wszelkie manifestowanie się geniuszu przed tłumem połączone jest z wielkiem niebezpieczeństwem. Psychologia zbiorowa — podobna w tem do psychologii kobiecej (najmocniej przepraszam za to szanowne czytelniczki), wytworzyła się z najokrutniejszych sprzeczności. Potrafi ona przechodzić, albo raczej przeskakiwać gwałtownie z jednego uczucia w drugie, wprost przeciwne tamtemu.

Aktor lub mówca, który źle jedno słowo wygłosi, może, wywołując w najpoważniejszym momencie bezlitościwy wybuch śmiechu, fatalnie skompromitować całą tragedyę lub mowę. Dramat, który zaczyna się jakimś dziwnym, frazesów pełnym okresem, albo który grą słów tylko dopomaga sobie, może być pewny, że daleko nie zajdzie.

Śmieszność w takich wypadkach zabija wszystko, sławę nawet. Cokolwiek o tem powiedziećby mogła pani de Stael.

Czyż więc warto mieć jakie zaufanie do werdyktów tego stulecia?

*

Bystry i subtelny krytyk mógłby zarzucić, że to odróżnianie sądów tłumu zbitego i opinii publiczności rozproszonej jest raczej iluzorycznem, a nie opartem na realnych podstawach, żeby mogłaby tu ostatecznie być mowa o rozmaitych stopniach jednej i tej samej rzeczy, a nie o istotnej różnicy dwóch rzeczy odrębnych.

Niewątpliwie o książce jak i o dramacie sąd wydawany bywa zbiorowo, przez suggestyę. Ani oklaski, ani sykanie o upadku lub powodzeniu dzieła nie rozstrzyga, ale artykuł tego lub owego publicysty, który w tym lub innym sensie oddziała na setki i tysiące czytelników. Społeczeństwo, w którem żyjemy, ono także, jak tłum jest organizmem, który idzie za danym popędem, które pójdzie za tym, kto da znak poruszenia się i łatwo daje się hypnotyzować temu, kto najgłośniej krzyczy lub temu, kto wyższe w społecznej hierarchii zajmie stanowisko.

Kto mniema, że opinia publiczna, to siła wypadkowa zbiorowego rezultatu wszystkich sądów i zdań, a nie wynik sądu jednego człowieka lub kilku, którzy innych za sobą porwali — ten oddaje się złudzeniu, gdyż domniemana swoboda i własnowolność sądzenia w rozproszonej publiczności jest naszem zdaniem tylko zarozumiałą illuzyą.

Taka krytyka, zresztą być może sprawiedliwa, w części zaledwie osłabia moje konkluzye.

Pewną jest rzeczą, że dla książki zbiorowy werdykt formuje się powoli, w tem rozumieniu, że rozproszeni czytelnicy wrażeń swych wzajemnie sobie udzielają i że indywidualne zdania zlewają się w jedno, podobnie jak poszczególne nuty w jeden akord się łączą. Ale tam zgodność tonów stopniowo się raczej wytwarza, godząc i łącząc opinie ważniejsze, a tem samem mniej łatwe do zmiany, nie doprowadza zatem do wrzaskliwego wybuchu nieświadomej psychologii zbiorowej.

Gdyby to porównanie nie było trywialne, powiedziałbym, że w takich razach indywidualne każdego zdanie musi się z konieczności trochę modyfikować i zmieniać przez zetknięcie się ze zdaniami innych — tak, jak ruchy każdego człowieka muszą, czy to w sali, czy na ulicy, czy wreszcie gdziekolwiek na świecie ulegać mimowoli pewnym ograniczeniom wskutek obecności lub starcia się z innymi osobami. Przeciwnie zaś w sądzie raptownie i jednocześnie wydanym przez tłum, czy to publiczności w teatrze, czy jakiegokolwiek innego zgromadzenia zachodzi istna „obstrukcya“ intelektualna i psychologiczna, która przeszkadza wszelkiej własnowolności myślenia i czucia, podobnie jak w zbitym tłumie ludzi bezpośrednie zetknięcie się ciał nie tylko ogranicza, ale bezwzględnie uniemożliwia fizyczne ruchy mięśni każdego.

Dla tego to tak samo, jak człowiek woli znajdować się wśród ludzi niż w tłumie, powinien też przekładać sąd ludzi nad opinią tłumu.

Dr. E. A.

— Coś mnie zrobił? A wczoraj heretyku jeden, a co?

— Taj cóże? czy co złego, żem cię pocałował se przy ludziach?

— Nic złego? — Nic złego, że teraz powiedzą, że mnie każdy chłopak całuje? — Widzicie go?

— Kiej powiedzą, to ich sa zadławię własnemi palcami.

Zahaczyła szybko kubły do szuńd i odwróciła się, odchodząc. Tak było jej go żal, tak żal.

— Staśka... powtórzył wtedy, podchodząc kilka kroków do niej.

Zwróciła się na miejscu, aż woda wybryzgła z jej kubłów.

— Będziesz czekała dziś za mną na wieczór, Staśka?

Odwróciła się znowu, nic nie odpowiadając.

— Staśka, powiedz, — naglił, idąc za nią.

— Przyjdź, to obaczysz. W jego oczach zabłysły płomienie jakby tryumfu.

Była zła na siebie, że mu tyle powiedziała. Nie mogła jednak panować tak okrutnie nad sercem, które omało, że nie wyskoczyło jej z piersi do niego.

— Kiejby miód, chłopak, kiejby miód. — szeptała, uśmiechając się do siebie rozkosznie.

Schyliła głowę zupełnie i drepciła szybko drobnemi krokami, aby nie porozlewać wody.

Wtedy, gdy już była blisko chaty, ujrzała, podniósłszy oczy, matulę, wchodzącą we furtkę zagrody z ogromną płachtą zielska na plecach.

— Cie, matuś, coście bywali tak długo? zawołała z daleka jeszcze.

— Po zielsko byłam i zapóźniłam się ksynkę, — odparła Janowa, zrzucając płachtę z pleców i rozpościerając ją przed chlewikiem.

Była niskiego wzrostu i dość tęga, po włosach ciemnych i oczach czarnych, lśniących jak dwa węgle pod łukami brwi, poznać było można, że kiedyś była bardzo piękną.

Więc gdy mąż jej umarł przed czterema laty, mówili ludzie, że Janowa jeszcze chłopa znajdzie, mówili nawet, że już znalazła, ale cztery lata minęły, a Janowa jeszcze nie zaczęła go szukać.

Gdy usiadłszy na stołku, doić krowę zaczęła, padł jej wzrok na krzyż przed chatą, stojący wewnątrz okólnika przy drodze.

Cały był zarosły powojem, tak, że nigdzie wśród zieleni drzewo nie wyglądało. Tylko na lewem ramieniu opadły łodygi chwiejne, i było widać kilka gwoździ, do których były przymocowane. Wiatr je zerwał pono lub deszcz silny.

(Dokończenie nastąpi.)

SZCZĘŚLIWY.

(MONOLOG.)

Marcelemu Trapszo ofiaruje
Autor.

Proszę mi się przypatrzyć z bliska i z daleka,
Jak wyglądam, zkąd wracam, gdzie idę, co robię.
Wszystko to warto wiedzieć, bo wystawcie sobie,
Że szczęśliwego teraz widzicie człowieka.
A takich dzisiaj, wierzcie, bardzo, bardzo mało,
Bo szczęście, djabli wiedzą, gdzie powędrowało.
Jam je wreszcie pochwycił w chaosie i tłumie, —
Ten znajdzie, kto szukać umie.

Właściwie... to ja dzisiaj dla tego jedynie
Przyszedłem, by nie robić zawodu nikomu
Z publiczności szanownej. — Lecz czy dobrze czynię,
Że z podwiązaną twarzą ruszyłem się z domu?
Nie wiem! a i w dodatku z kulejącą nogą.
Dlaczego tak się stało, dowiedzieć się mogą
Wszyscy, bo to nie sekret i nie żadne dziwy:
Po prostu jestem szczęśliwy.

Nie mówię tego wcale z ironią, broń Boże!
Powiadają, że szczęścia nikt zdobyć nie może,
A ten, co życie swoje całe za nim goni,
Męczy się tylko biedak, i celu nie dopnie.
Bajki! dowiodę państwu jasno jak na dłoni,
Że ja jestem szczęśliwy, szczęśliwy okropnie.
I to szczęście się wzmaga, rośnie z każdą chwilką,
No! proszę, słuchajcie tylko.

Władysław Podkowiński.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Nazwisko wysoce utalentowanego artysty dobrze jest znane inteligentnemu ogółowi, który cenił tę niezaprzeczenie wybitną indywidualność. Sam chory, stargany trapiącą go niemocą, miał Podkowiński również fantazyę choć bujną, przecież chorobliwą bardzo. Ulegał on wrażeniu, nie poddając krytyce jego wartości, tworzył pod wpływem tego wrażenia bez względu na to, czy pomysł wart był wcielenia. Impresyoniści francuzcy oddziałali na wrażliwą wyobraźnię artysty, zaczął też malować impresyonistyczne obrazy.

„Taniec szkieletów“ świadczy najwymowniej o rodzaju talentu Podkowińskiego: jakąś ideę cierpienia, bólu — jakąś poezyę burzliwą odtwarza w tem dziele artysta. Coś niezrozumiałego, a przecież do głębi przejmującego widzimy w tym utworze, poczętym w usposobieniu niewątpliwie smutnem, w rozpaczliwej rozterce ducha.

„Artysta ten — mówi Piątkowski w swej książce o współczesnem malarstwie — dla wywołania efektu nie zawahał się ani na chwilę, aby na rozbujałej tylko imaginacyi oprzeć stronę wykonawczą swojego dzieła“.

Był to romantyk w sztuce z pewnem uprzedzeniem, z pewną z góry powziętą myślą, z pod której przewagi nie mógł się wydobyć.

A „Szał“ — ów obraz, który artysta pociął nożem w kawały, czyż nie jest dowodem tego samego romantyzmu, m[illegible]cego w sobie coś z nieokiełznanej, wybujał[illegible]zości?

Fakt pocięcia obrazu przej[illegible]utkiem zwolenników i przyjaciół talentu artysty...

Była to zapowiedź końca. Organizm stargany chorobą piersiową słabł, wola z sił opadała, myśl się ćmiła, — aż przyszła śmierć, która uwolniła artystę od cierpień.

Władysław Podkowiński niemal w młodzieńczym wieku zmarł przed kilku dniami, szczerze smucąc tych, co cenili bardzo wybitny talent i prawość szlachetnego charakteru artysty.

Przez czas pewien był Podkowiński stałym rysownikiem „Kuryera Codziennego“ i „Tygodnika illustrowanego“.

* * *

Kiedym spotkał Podkowińskiego w kilka dni po pocięciu w kawałki „Szału“, owocu kilkomiesięcznej pracy, wystawionej w salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, upoważniony przyjaznem stosunkiem, jaki mnie łączył z utalentowanym artystą, zapytałem go:

— Powiedz mi pan, panie Władysławie, dla czego zniszczyłeś pan „Szał“?

— Bo mi się nie podobał — odparł Podkowiński ze zwykłym spokojem i uśmiechem na ustach. — Na razie — ciągnął dalej — zdawało mi się, żem stworzył istotnie dzieło sztuki, potem zauważyłem w nim pewne braki, przytem kilku krytyków...

— Ależ wszyscy prawie chwalili „Szał“.

— Nie wszyscy... Zresztą, głupstwo, teraz wezmę się na nowo do roboty, mam nową myśl!...

W kilka miesięcy potem ukazały się na wystawie nowe drobniejsze prace Podkowińskiego, które już malował pod pseudonymem Ansgarego, a jednocześnie z pracowni artysty dochodziły wieści o nowych, większych, świeżo rozpoczętych pracach.

Ciężka niemoc jednak wytrąciła pendzel z jego ręki; od sześciu tygodni nie podnosił się z łóżka, i wreszcie zasnął na wieki.

Wieść o śmierci utalentowanego i lubianego powszechnie artysty rozeszła się lotem błyskawicy, koledzy-malarze i przyjaciele pospieszyli zaraz złożyć wyrazy współczucia matce, którą pozostawił.

I ja pospieszyłem z innymi. Podkowiński zmarł w tem samem mieszkaniu, w którem powstał „Szał“ i wiele innych prac artysty. Mieszkał on razem z matką, pracownię zajmował na trzeciem piętrze, w domu Kossakowskich na Nowym Świecie. Po krętych, wąskich schodach dostałem się na dobrze znajomą mi górkę... Nic się tu nic nie zmieniło, pracownia robi wrażenie, jak gdyby artysta dopiero co złożył paletę i pendzel, nawet farby na nich jeszcze nie obeschły...

Na środku stoją na stalugach dwa duże obrazy, przysłonięte zupełnie. To ostatnie, niedokończone jeszcze prace Podkowińskiego. Jeden obraz większych rozmiarów, przedstawia „Zmartwychwstanie“, drugi, prawie zupełnie ukończony — „Marsz żałobny Szopena“.

Wziął się więc, jak zapowiadał, do pracy na nowo — lecz nie było mu sądzonem dzieł tych dokończyć...

Szkoda, wielka szkoda! *K. C.*

Warszawa w styczniu.

Prywatne stosunki z muzą.

(Ciąg dalszy.)

W pierwszej chwili zrobił na mnie wrażenie warszawskiego urzędnika: coś suchego widziałem w jego twarzy, wcale nie pociągającej za pierwszem wejrzeniem. — Siedząc zdala, nie słyszałem o czem mówi, ale byłem przekonany, że jest jak i ja gościem u malarzów, że chce być rozmownym i hojnie ich uraczyć nowinkami z nad Wisły, ale że sobie pewien przymus zadaje.

I dziś, choć go poznałem potem dokładnie, nie wątpię, że był wówczas nienaturalny. A choć okazało się, że i z tytułu swego ogromnego talentu i dawno już zarobionej sławy, miał zupełne prawo najwięcej w tem towarzystwie gadać i rej wodzić, to jednak nigdy nie mógł pozbyć się pewnej pozy, nienaturalności — on, co naturę uważał za jedynego Boga sztuki. Inaczej być nie mogło. Czuł swą wyższość — a oni nie wszyscy i niechętnie mu ją przyznawali. Wiedział, że go niektórzy, np. ów znany nam zgniłek w bawełoku, podszytym wiatrem, krytykuje w cichości ducha, żęta lub inna chwila milczenia może być brzemienna lekkiem szyderstwem. — Bo to kółko nie lubiło, żeby im imponować, raz dla tego, że przychodziło dla całkiem swobodnego wytchnienia, a powtóre, że tyle już w swoim życiu napatrzyli się dobrych rzeczy, iż ich byle czem wzruszyć nie tak łatwo było. Gdym n. p. ja wracał, — w pierwszych zwłaszcza czasach — z glaspalastu oczarowany, oszołomiony, z bólem głowy, oni śmiali się i w drodze szczególnego ustępstwa zgadzali się pochwalić jedno — dwa płótna, na trzy tysiące. I to bez wszelkiej fanfaronady; po prostu przejedli się.

Takie jarmarki jak Monachium, działają dwojako. Wprzód zachęcają względną łatwością zbytu i dobremi warunkami pracy, wystawami pierwszorzędnych, czasem nawet genialnych dzieł; ale potem zniechęcają, straszą, odbierają ufność we własne siły, przygniatają masą rzeczy nowych i oryginalnych, to znów pospolitują sztukę zalewem miernoty pokupnej. Artysta przestaje być arystokratą, wybrańcem, skoro widzi dokoła tysiące kolegów i krocie obrazów.

Byli oni wogóle dosyć zimni i względem wielkości zblazowani, gdy on nosił w swem

Raz w lecie patrzę, słońce świeci cudnie,
Śliczna pogoda, ciepło, więc w samo południe
Idę sobie na spacer Wtem koło fontanny,
Patrzę, stoją znajome, bardzo ładne panny,
Jedna z nich już mi nawet grzecznie główką kiwa,
Podchodzę z galanteryą, aby się ukłonić,
Nagle wicher kapelusz z głowy mi porywa,
Fatalność! zaczynam gonić.

Leci, leci jak kula w kręgielni rzucona,
Ja za nim, a tuż za mną jakiś pan z pomocą
Pędzi także, właściwie djabli wiedzą po co.
Próżno do kapelusza wyciągam ramiona.
Niewdzięcznik nie uważa na przechodniów krocie,
Co się z tej awantury już za boki brali,
Toczy się coraz prędzej, znika coraz dalej,
Nurzając się w miękkiem błocie.

Już byliśmy na placu, gwałtu! jeszcze troszkę,
Jeszcze chwilka, a wpadnie bestya pod dorożkę.
Dałem susa jak tygrys krwiożerczy i dziki,
Kiedy chwyta ofiarę. — Wtem, jak mnie coś palnie
W plecy, ażem podskoczył... dyszel naturalnie!
Lecz słyszę dookoła radosne okrzyki:
A to szczęście prawdziwe! Bogu składaj dzięki
Żeś nie złamał nogi, ręki.

Kapelusz znikł na zawsze jak senna widziadło,
To było pierwsze szczęście, jakie na mnie spadło.
Lecz od tej pory... klnę się, przysięgam na głowę...
Nie ma dnia, by mnie szczęście nie spotkało nowe,
A chociaż na wrażenia nic nie jestem chciwy,
Wychowany w spokoju, cichości, pokorze,
To nieraz ze zdziwieniem wołałem: O Boże!
Za co ja taki szczęśliwy?

Raz w dzień majowy, gdy gasły promienie
Słońca i ptaków ozwało się pienie,
Zapachem fiołków, róż ukołysany,
W kraj do tej pory wkroczyłem nieznany,
Czyli mówiąc tak, aby wszyscy rozumieli
Zapałałem miłością ku pani Adeli

I w myślach moich wciąż ją nazywałem
Moim pierwszym ideałem.

Czy to jest szczęście? Tak by się zdawało.
Ona dość mnie lubiła, lecz to wszystko mało,
Dopiero, kiedy mąż jej pewnego poranku
Prosił mnie bardzo grzecznie, bym poszedł do siebie,
Bo może innych środków spróbować w potrzebie,
I zawołał na schodach: „Masz szczęście kochanku.
Żem ci żeber nie złamał!“
Leciałem jak z procy,
A było już po północy.

Ciemności dookoła! Niech cię piorun trzaśnie!
Myślę sobie: Naprawdę! całe szczęście właśnie,
Bom o tak późnej porze nie spotkał nikogo.
Trochem się tylko potłukł, ale swoją drogą
W czepkum się rodził. Gdyby tak kto inny,
Ale bez apelacyi, winny czy niewinny,
Jużby leżał zabity. Ja się nic nie boję!
A od czegoż szczęście moje?!

Kuleję wprawdzie trochę, ale cóż u djaska?!
To jeszcze nic tak złego, a od czegoż laska.
Gorzej było z zębami. Ta sprawa ołowiem
Cięży mi na sumieniu, — w krótkości opowiem.
Było już szaro, — patrzę... panny idą same...
Nie wypada, nie ładnie, trzeba iść za niemi,
Już zaczynam rozmowę... Wtem spostrzegam mamę
I tatko wyrósł z pod ziemi.

No! potem, potem... to był dramat cały,
Już na samo wspomnienie dębem stają włosy,
Dość! że mnie strasznie zęby rozbolały,
A tatuś za mną krzyczał w niebogłosy:
„Masz szczęście łotrze, żeś nie posiekany!“
O! ja wiem: Ci ojcowie to zbóje... tyrany!
Że mi się tak udało, to już cud prawdziwy.
Jaki ja jestem szczęśliwy!

Cherchez la femme! panowie, o! tak, prawda święta,
Nierozważni, co prawem tak rozumnem gardzą,
Gdyby nie piękne panie, gdyby nie dziewczęta
Czy byłbym tak szczęśliwym? wątpię, wątpię bardzo.
A trzeba państwu wiedzieć, że ja Donżuanem
Strasznym jestem — i nawet szczycę się tem mianem
Ja tylko na kobietę spojrzę i już w sidle!
Czasem tam która powie słodziutenko „Bydlę!“
Lecz któżby od płci pięknej żądał grzecznych słówek!?
A szczególniejsze szczęście mam do pokojówek...
Przedwczoraj właśnie miałem rendez-vous z Brygidą.
Rączęta ma czerwone, ale jakie oko!
Ledwom przyszedł, a ona krzyczy: „Państwo idą!“
Nie namyślam się długo i przez okno w drogę.
No! szczęściem naturalnie nie było wysoko,
Więc tylko zwichnąłem nogę.

Chciałem się ustatkować i ożenić wreszcie,
Bogato naturalnie, bo miłość bez grosza,
Cóż warta? panna miała tysięcy ze dwieście,
O! tak miała na pewno...
Dostałem odkosza.
Arbuzik jak to mówią... Na nic wszystkie plany!
Lecz cóż? przyszły wyścigi, rauty, bale, stroje...
Majątek fiut! a do mnie mówią: „Mój kochany!
Ten arbuz to szczęście twoje!“

Doprawdy, niech mi państwo zawierzą na słowo,
Chociaż żadnych dać na to nie mogę dowodów,
Ile razy w latarnię uderzyłem głową,
Ile razy formalnie leciałem ze schodów,
Ilem razy się topił... Nie! ja sam się dziwię,
Jak się to wszystko składało szczęśliwie,
A są tacy co dotąd utrzymują przecie,
Że niema szczęścia na świecie!

Wincenty Rapacki (syn).

wnętrzu niewygasający ogień zapału. Ich ambicya może kiedyś wzlatywała wysoko, ale teraz miała skrzydła obcięte albo biedą, albo obczyzną sfery, albo owym nieustającym właśnie turniejem malarzów z całego świata. On udawał także zobojętnienie, ale mocą prawa wybitnych indywidualności, nie był jeszcze spożytym mimo rozczarowania, walki i upokorzenia. Dwojako bowiem działa także świadomość, że się przyszło artystą na świat, nie potrzebujący sztuki, albo łakomy tylko na jej falsyfikaty: słabszych i delikatniejszych ubezwładnia, silnych rozgoryczając, wścieka i rozżarza namiętnością walki.

Niekiedy nawet trochę ich demoralizuje. *On* tak dobrze poznał publiczność polską, a właściwie warszawską, że jej nigdy nie wierzy, ani wtedy, gdy ona chwali, ani gdy gani. Wie, że u nas trzeba być przedewszystkiem modnym, że to się każdemu udać może i że moda trwa krótko. Toć i jego nie rozumiano dla tego, że nie lubił robić z obrazu wzruszającego melodramatu z przeszłości, albo nawet z teraźniejszości, a potem od razu, jednym zamachem, zrobiono laureatem, okrzyczano tryumfatorem realizm, ażeby wkrótce znowu o nim zapomnieć. To nawet nie jest tyle modą, ile raczej wybuchem słomianego zapału. W tem jesteśmy silni.

Kiedy się zdarzyło otrzymać jakiś warszawski medal temu, co to nosił swoje oczy na końcu nosa — zdaje mi się, że tak go właśnie charakteryzował oryginał niniejszej sylwetki — *on* zaczął mu dogadywać na wpół żartem, na wpół seryo, o znikomości naszych uwielbień, o tem jak nieraz są one bezzasadne i poddane myślom przez reklamę albo przez prowodyrów stada.

— I pan myślisz — mówił — że oni o panu będą pamiętać bodaj do jutra? tylko żółtodziób może miewać takie złudzenia. Niech się panu nie zdaje, że oni sami coś o tym medalu wiedzą — ot, zwyczajnie! bydło, musiało sobie bryknąć, więc i bryknęło i rezultatem tego bryknięcia jest pańskie odznaczenie.

Cały prawie wieczór zeszedł na podobnych perswazyach, a kiedyśmy się rozchodzili, czułem, że właściciel medalu ma się za zbrodniarza, za oszusta i fałszerza, i że zamiast wyciągnąć rękę po przysądzoną mu nagrodę, powinien iść czemprędzej i oddać się w ręce policyi...

Inni złośliwie się o tym posępnym trzeźwicielu odzywali — a ja? wiedziałem, że przez niego przemawia żółć nawpół zmarnowanego artysty, ale nie ukrywałem też przed sobą, że to zazdrość, niepohamowana ambicya, która w swem samolubstwie nie użyczy nikomu nawet jednego listka wawrzynu i pragnęłaby dla siebie wszystko, wszystko zagarnąć.

Uważam nieraz, że gdy kto u nas naprawdę jest znakomitym, staje się prędko barbarzyńcą, dzikim. Może to brak wyrobionej opinii sprawia, może i za słaba styczność z cywilizowanym światem, który nawet geniuszom nie pozwala na samowładztwo, może rozpryśnięcie się wyższej, twórczej inteligencyi na drobne wysepki, rządzone przez kacyków, dość, iż talentowi najczęściej wtóruje u nas jawna albo ukryta arogancya i wyniosłość, zawiść, niechęć dla młodych, że mogliby zdetronizować starych, w ogóle — nieżyczliwość. Spojrzyjcie na nasze świeczniki litrackie. Tożby oni się wzajem w łyżce wody potopili. I prędzej czy później taka znakomitość skazaną zostaje na samotność, jałowieje przedwcześnie; doskonaląc się artystycznie, zatraca jednocześnie czucie i ciepło, staje się połyskliwą i tęczową jak bryła lodu na słońcu, ale i jak lód zimną... Tego nie zna ani Francya, ani Anglia, ani Włochy.

Nie chcę ja przez to powiedzieć, że wolę ambicyę średnią, małą. Nie, taka lubi nie przebierać w środkach wybicia się na wierzch i zgnębiania rywala. Wielka zaś chodzi często w parze z wielką naprawdę indywidualnością, z wysoką miarą, stosowaną nie tylko do innych, ale i do siebie. A więc i on nie wypuści ze swej pracowni nic płytkiego. Prędzej, jeśli niezadowolony, zniszczy lub spali, ale nie sprofanuje swego ideału, nie zniży się do poziomu przeciętnego.

I oto zabawne powstają sprzeczności.

Cezary Jellenta.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA

Kraków, 8 stycznia.

(Ś. p. jenerał Suchodolski. Zbiory hr. Czapskiego. Starcie wyznaniowe w Radzie miejskiej. Dymisye. Bank krajowy. Br. Helfert o Krakowie. Dobre wiadomości.)

Ze śmiercią ś. p. Suchodolskiego, jenerała wojsk austryackich, ubyła naszemu miastu osobistość dosyć typowa. Potomek rozgałęzionej i bogatej rodziny, mając zaledwie lat 16 wstąpił do ułanów podczas toczącej się walki w roku 1831. Później go widzimy w kampanii węgierskiej, a wreszcie zdobywającego sobie coraz wyższe stopnie w kawaleryi austryackiej. Przed laty mniej więcej dziesięciu, otrzymawszy rangę jenerał-majora wystąpił z armii, jako już starzec 70letni. Zdawałoby się, iż długoletnie przebywanie w wojsku austryackiem, zdala od kraju, w otoczeniu niemieckiem duchem i językiem, powinno było polskiego ułana przerobić na całkowitego austryaka. To też, kiedy go poznałem, niezwykłą przyjemność sprawiła mi jego czysta, dźwięczna, niczem nie skażona mowa polska. Co więcej, miałem sposobność poznania, iż w jenerale austryackim biło serce prawdziwie polskie, że obchodziły go wszystkie nadzieje i marzenia naszego społeczeństwa, że każdą sprawę publiczną brał gorąco do serca, że interesował się nietylko sprawami krajowemi ale i miejskiemi, co wszystko dowodziło, że podczas swego wojskowego zawodu nie zrywał nigdy nici ze swoim krajem i społeczeństwem. Zmarły był blisko spokrewniony z ministrową Zaleską, a syn jego rodzonego brata jest introligatorem.

Donosiłem przed paru miesiącami, iż hr. Czapski przenosi swoje cenne muzeum do Krakowa. Przybyło ono już przed kilku dniami w 131 pakach, zawierających numizmaty, medale, konchy, starą porcelanę, starodawne zbroje, meble gdańskie itd. Do zbiorów tych należy i zamożna biblioteka, w której jest wiele dzieł pochodzących ze słynnej, a zrabowanej biblioteki Załuskich, znajdującej się w Petersburgu. Właściciel tych zbiorów nabył pałacyk od spadkobierców Humberta Krasińskiego, w którym sam ma zamieszkiwać, połączywszy go krytą galeryą z gmachem, jaki wystawi na pomieszczenie muzeum.

Rozeszła się pogłoska, że Siemiradzki zgadza się na objęcie dyrekcyi Szkoły sztuk pięknych. Być może, ale ośmielam się wątpić.

W Radzie miejskiej wynikło niespodziane starcie na gruncie wyznaniowym. Jeden z radców czuł się obrażony, że chrześciański „komitet głodnych dzieci“ w odezwie swojej, wspominając o bezimiennych swoich przeciwnikach, zaznaczył, iż smutnym ich tryumfem jest fakt udzielenia pożywienia 150 dzieciom chrześcijańskim z funduszu komitetu żydowskiego, opiekującego się głodnymi dziećmi izraelickiemi. Pomijając już to, że w ustępie odezwy, o którym mowa, trudno się dopatrzeć chęci obrażenia uczuć żydowskich, trudno pojąć, co wspólnego mogła mieć Rada miejska z tą sprawą, ażeby ją przed jej forum wytaczać. Owocem tej nieuzasadnionej drażliwości była dyskusya, po której dopiero obrażony mógł rzeczywiście czuć się obrażonym. Zyskały jednak na tem niefortunnem poruszeniu sprawy, dzieci chrześciańskie, gdyż jeden z współwyznawców obrażonego postawił wniosek, aby Rada podwyższyła subwencye chrześciańskiemu komitetowi głodnych dzieci. Posiedzenie Rady, na którem rzecz się toczyła, nietylko na tym punkcie było dość burzliwe, zaraz bowiem po dyskusyi wyznaniowej wyproszono ze sali „arbitrów“ i na tajnem posiedzeniu przyjęto rezygnacye z urzędu dyrektora budownictwa z przyznaniem mu emerytury i udzielno dymisyi jednemu z najwybitniejszych radców magistratu i jednemu z komisarzy obwodowych, bez przyznania im prawa do pensyi emerytalnej. Tajemnica pokrywa szczegóły dyskusyi, po której powzięto taką energiczną uchwałę. Wiadomem jest tylko, że na decyzyą Rady wpłynęła sprawa głośnych bardzo nieporządków i niewłaściwości w załatwieniu kwestyi budowniczych przez magistrat. Pisałem o tem w swoim czasie dość szczegółowo, kiedy zawalenie się jednej z budowanych kamienic odkryło różne tajniki budowania domów w Krakowie. Niemając materyału przed sobą, nie jestem w stanie ocenić, o ile kara dotknęła prawdziwie winnych. W każdym razie musiała być przeciw niej opozycya, jeżeli radcy miejscy wbrew swojemu zwyczajowi zostawali na posiedzeniu aż do godziny 11 wieczorem, nie zważając na niepokój swoich połowic, które ich zwykły po każdej sesyi Rady widzieć już o godzinie 8 wkraczających w progi domowe dla rozgrzania się ciepłem ogniska domowego.

Mających pieniądze do ulokowania, a jeszcze więcej pragnących je ulokować we własnych kieszeniach, ucieszyło otwarcie filii Banku krajowego w Krakowie. Filia ta będzie uprawiała te wszystkie działy, jakie uprawia instytucya centralna we Lwowie, z wyjątkiem działu hipotecznego. Dyrygentem filii jest pan Mieczysław Sędzimir, prezesem rady nadzorczej pan Karol Scipio. Jedno z pism w nagłówku artykułu o otwarciu i poświęceniu filii banku popełniło omyłkę nazywając go *Rankiem* krajowym. Oby omyłka ta ziściła się, oby bank rzeczywiście stał się *rankiem* polepszenia interesów finansowych mieszkańców Krakowa.

Zanim to nastąpi, pocieszamy się na razie pięknem świadectwem, jakie złożył baron Józef Helferth troskliwości Krakowian o zachowanie Bramy floryańskiej z jej barbakanem, pospolicie rondlem zwanym, a będącym klejnotem średniowiecznej sztuki fortyfikacyjnej. „Brama ta, pisze uczony baron w kwartalniku „Mittheilungen“, pozostanie po wszystkie czasy widomym znakiem i pomnikiem historycznym i artystycznotechnicznym pełnej treści przeszłości miasta, które wskutek troskliwej czci, z jaką zachowuje tak liczne swoje szanowne starością zabytki budownictwa, jest bodaj najbardziej interesującem miastem środkowo europejskiego wschodu.“

Składki centowe na Wawel według ostatniego obliczenia wynoszą 13,000 złr., w którą to sumę nie wchodzą składki zbierane przez komitet lwowski, oraz ofiary składane w dziennikach na odnowienie katedry. — „Czas“ drukuje w swoim odcinku „Ryndzię“, nowelę pozostałą w papierach po śp. Waleryi z Soleckich Błotnickiej. — „N. Reforma“ pomieszcza w odcinku „Mogiłę“, świetnie skreślony obrazek Maurycego Zycha, drukowany poprzednio w „Przeglądzie Poznańskim.“ — Pan Erazm Jerzmanowski nadesłał sumę 1200 złr. na ręce Adama Asnyka, przeznaczoną na różne cele publiczne i filantropijne; największa kwota przypada na gimnazyum w Cieszynie. — Wojciech Gerson listem otwartym zachęca uczcić setną rocznicę działalności Wojciecha Bogusławskiego wystawieniem mu pomnika na placu przed nowym teatrem krakówskim. — Już kilka Rad powiatowych przy uchwaleniu swego budżetu wstawiło do niego kwoty na powiększenie funduszu zakupna domu Jana Matejki. — Członkowie świeżo założonej czytelni ruskiej wybrali komitet zarządzający; do klubu tego wpisało się 40 członków.

Znikł z bruku krakowskiego p. Jakób Glikson, były dyrektor teatru krakowskiego: zniknięcie jego ma związek z wykryciem prywatne-

go domu gry, w którym niemądrych amatorów zdobycia łatwym sposobem fortuny ogrywano przy pomocy kart znaczonych.

K. Bartoszewicz.

Ze Szlązka polskiego.

(*Nowe wydawnictwa. — Kościelski Ślązakiem. — Aklimatyzacya Hanse-Kene-Tide-Manów na Ślązku. — Nareszcie i „Katolik przemówił.*)

Niemieckie Centrum, karmione dotąd piersmi Polskiego Ślązka, poczyna ząbkować, bo piersi te raz po raz kąsa i rani. Chwilami przychodzi bystre to dziecię do przekonania, że niesforne jego postępowanie mogłoby być ukaranem odsadzeniem od piersi i dla tego czasem uśmiecha się dobrodusznie. Matka tego dziecięcia, książęcabiskupia kapituła we Wrocławiu, w obawie karmicielki, postąpiła tym razem w pensyi niezadowolonej mamce. Od nowego roku wychodzić będzie z ramienia stolicy książęcobiskupiej we Wrocławiu tygodnik religijno-obyczajowy i kościelny w języku niemieckim i *osobno w polskim* pod tytułem „Posłaniec Niedzielny dla dyecezyi Wrocławskiej, organ związku św. Rodziny.“ Księża z ambon rozgłaszają entuzyastycznie narodziny nowego pisemka, a lud wierny spieszy, nie z mirą ani kadzidłem coprawda, lecz za to ze złotem. Zbyt gorliwego mecenasa polskości w „Posłańcu Niedzielnym“ się nie spodziewamy, wszakże chociaż życzenia niekoszlawej polszczyzny z okazyi noworocznych powińszowań nie zawadzą.

— Piękną gwiazdkę odebrał Ślązk z Mikołowa od firmy wydawniczej Karola Miarki we formie nowego pisma pod tytułem: „Przyjaciel Rodzinny“ z dodatkiem „Kronika Tygodniowa.“ Numer okazowy wcale dodatnie robi wrażenie. Druk piękny, liczn i jak na wydawnictwo ludowe bardzo pięknie wykonane ilustracye, tudzież język nieskażony, stanowią ozdobną szatę zewnętrzną, a treść zastosowana do wymagań tutejszych jest umiejętnie dobraną. Jedna powieść z czasów apostolskich, druga pióra Xaw. Fr. Tuczyńskiego, udatna kolenda na Boże Narodzenie, rozprawka na temat o socyaliźmie chrześcijańskim i pijaństwie, humoreska z życia rosyjskiego obok dowcipów warszawskiego kroju, są zdolne bytomskiemu „Światłu“ niebezpieczną wytworzyć konkurencyą. Brak tejże konkurencyi pozwalał „Światłu“ zwolna przygaszać, przeto spodziewać się należy, że „Przyjaciel Rodzinny“ przerwie tę drzemkę i że przy uczciwej rywalizacyi czytelnicy zyskają niemało. Podobnie jak „Przyjaciel Rodzinny“ na belestrykę ślązką, tak dodatek jako „Kronika Tygodniowa“ podziała na tutejsze pisma polityczne pobudzająco. Pierwszy numer przynosi udatnie wykonane portrety ks. Hohenlohego i Mikołaja II, a oryginalne korespondencye z Poznania i Westfalii dowodzą, że redakcya zrozumiała, iż wiadomości z polskich okolic poza granicami Ślązka są Ślązakom pożądańsze i pożyteczniejsze, niż sprawozdania z odpustów i ciekawe przygody drapichrustów lokalnej natury. Rubryki pod tytułem „poradnik lekarski“ i „poradnik gospodarczy“ zasługują również na uznanie. Korespondentowi z Poznania do „Kroniki“ nie zaszkodzi ściślejsze przestrzeganie swego tematu t. j. spraw poznańskich, a unikanie n. p. porównań oświaty i dojrzałości politycznej ludu ślązkiego, a ludu z Księztwa. Przebija tam bowiem pewna nieznajomość ślązkiego ludu na niekorzyść Wielkopolski, bo o chęć schlebiania Ślązakom pana korespondenta posądzać nie mamy zamiaru.

— Ponieważ już mowa o Poznaniu, trudno pominąć „Gońca Wielkopolskiego“, który w numerze świątecznym istotnie odświętną przybrał szatę pod względem zewnętrznego wyglądu jak również co do treści i objętości. Wrodzone każdemu człowiekowi samolubstwo kazało i nam tu oczywiście w pierwszej linii zajmować się korespondencyą z Górnego Ślązka pióra p. Br. Koraszewskiego. W korespondencyi tej brzmi nuta dziwnie serdeczna. Dumny być może Ślązk z tego, co o nim donosi, a wdzięczny panu K. za tę miłość gorącą do ludu ślązkiego, bijącą z każdego słowa korespondencyi. Lecz wybaczcie małe uchybienie. Widzę z przytoczonych tam przecudnych melodyi biblijnych, że p. Józef Kościelski, którego dotąd uważałem za czystej krwi Wielkopolanina, jest Górnoślązakiem.

> A jeśli Ciebie zapamięta
> Jeruzalem, moje serce itd.

jest bezprzecznie pióra p. Kościelskiego, a przecież mówi korespondent, że to Górnoślązki śpiewak tak miłość swoją wyraża. Poetą jako Górnoślązakiem chciałbym się popysznić, lecz politykiem — a! może dla tego nam go tu odstępujecie?... Nie wiem, co drudzy na to powiedzą, bo mało jakoś zaufania budzi import tego rodzaju.

— Spisali się niedawno temu Katowiczanie, którzy pragnąc nowości, zapisali sobie z Poznania Hanse—Tide—Kenemanów, osławioną trójkę Bismarkowską. Wielka ztąd radość w Izraelu: był nawet na cześć tych Manów komers wspaniały i jak za dawnych dobrych czasów: „mastgefüllte deutsche Eber.“ Telegram zokomunikował wieść radosną o założeniu towarzystwa dla popierania niemczyzny w Katowicach żelaznemu emerytowi w Friedrichsruh, sprowadzając na odwrót błogowieństwo jego na głowy obrońców ojczyzny w Katowicach, oraz zaklęcie zapożyczone od pana Kościelskiego:

> Wyniszcie lud ten w posadach
> I ziemię jego spustoszcie
> Tak, aby na jego śladach
> Wyrastał oset przy oście!

Toż i zakończyć wypadnie słowami poety z Karczyna, bo któż lepiej odpowie na pytanie: A my co na to?

> A my się Panu korzyli
> I ufaliśmy mu zawsze,
> Czyli ciemięży nas, czyli
> Okaże lica łaskawsze.
> Bo wiemy, że nasze domy,
> Że nasze łany i pola,
> To jest dobytek znikomy,
> I Boża nad nim jest wola.

Najpobożniejszemu na Ślązku „Katolikowi“ sprawa katowicka tak żółć wzburzyła, że wziąwszy na odwagę, nie w domyślnikach, jak dotąd bywało, lecz gołosłownie i bez zastrzeżeń przedrukował wierny zasadzie, że mądrość narodów mieści się w przysłowiach, nasze stare lecz nieomylne:

> Póki świat światem
> Nie będzie Niemiec Polakowi bratem.

Czytając tak niezwykłe słowa, obejrzałem się poza siebie i spiesznie schowałem papier do kieszeni, by snadź jaki policyant szelma nie przyaresztował „Katolika.“ Uszło jakoś tym razem.

Chim.

NA WYŁOMIE.

(*Curiosum dziennikarskie. Rozczulająca scena w teatrze. Łyki na galeryę! Kontrybucya i jej następstwa*).

Wyśpiewano na cześć pani *Modrzejewskiej* tyle prawdziwych i podrabianych pieśni słowiczych, że mówiłem sobie nieraz: „Koniec! Temat wyczerpany!“ Dziś jednak po przeczytaniu poznańskiej korespondencyi do „Czasu“ nowa otucha w serce me wstępuje. Znany kronikarz miasta naszego, przetapiający w petersburskim „Kraju“ i krakowskim „Czasie“ lojalne formułki swoje na kopiejki i centy, — kronikarz owładnięty takim wstrętem do wszelkiego kalibru „ludowców“ i „narodowców“, że gdy maleńki pinczer z redakcyi „Gońca Wielkopolskiego“ szczeknie na ulicy, lub roznosiciel „Orędowników“ kichnie energicznie, to pan korespondent smaruje trzyłamowy artykuł o nowych demonstracyach „warchołów“ i „szowinistów“, — ten historyczny Domarat, Wojnicz, Pełka i Gwiazdka w klamerkach (*) odkrył w pani Modrzejewskiej takie czarnoksięznictwo, o jakiem Europa nie wiedziała jeszcze. Mówią wprawdzie myty starogreckie, że Orfeusz wzruszał kamienie, a słynny Arion rozczulał delfiny, ale nie słyszałem dotychczas nigdy, aby wielkie artystki przywracały harmonię w społeczeństwie rozdartem, łączyły powaśnione stronnictwa i tak rozrzewniały upartych „ludowców“, że z okrzykiem „Pater peccavi“ na ustach idą do Canossy. A przecież cudu takiego dokaże „*Ona*“, — tak powiedział poznański korespondent do krakowskiego „Czasu“, zapowiadając gościnne występy pani Modrzejewskiej. *Ona* nietylko z monotonnej codzienności dusze nasze w krainy piękna zawiedzie, lecz pogodzi p. Dobrowolskiego z p. dr. Szymańskim, „Gońca“ z „Kuryerem“, Kościelskiego z Czarlińskim. Chwila jeszcze, a ujrzycie cudy prawdziwe. Pani Modrzejewska wstępuje na deski jako Marya Stuart, oczy jej łzami nabiegają, głos brzmi jak harfa Eola. Wtem krzyk straszny na wyżynach piętra drugiego. Zeskakuje pan Knapowski z całym sztabem ludowych żołnierzy i woła: „Zgrzeszyłem, lecz ślubuję wam pokorę i posłuszeństwo!“ Następuje scena pojednania: „Postęp“ ściska się z „Dziennikiem“, ks. Jeżewski z dubeltówki całuje pana Offierskiego, loże pierwszego piętra biją brawo, muzyka gra „Jeszcze Polska nie zginęła“, niech żyje pani Modrzejewska!

Tak w „Czasie“ krakowskim wróży „Gwiazdeczka“ z całą powagą polityczne[j] sybilli. Wybaczy mi jednak pan Korespondent, że ośmielę się za proroctwem pięknem położyć znak zapytania. Gdyby tak jeszcze pani *Ludowa* zawitała powtórnie do miasta naszego, to przez sympatyę dla nazwiska, które domorosły etymolog gotów skombinować z magnetycznym wyrazem „ludowa“, rozczuliłoby się może stronnictwo „Orędownika“ i „Postępu“, przebaczając za sprowadzenie takiego gościa wszystkie winy panu Dobrowolskiemu, ale pani Modrzejewska mimo całej potęgi talentu swojego tego zaiste nie dokaże. Przeciwnie! Niepokoi mnie jakieś głuche przeczucie, że przyjazd wielkiej heroiny w społeczeństwo skołatane rzuci ferment nowy, — nie z winy artystki, lecz z winy teatralnych wielkorządzców. Dopóki bowiem na scenie naszej nie zabłyśnie która z wielkich gwiazd wędrownych, panowie ci służą na dwóch łapkach przed publicznością poznańską, śpiewając hymny na cześć „ofiarnego mieszczaństwa“, ale niechaj tylko do nas zawita jaka Modrzejewska, wnet miny hardzieją i obywatelstwo miejskie uchodzi w oczach różnego gatunku Kacyków za intruzów z pod ciemnej gwiazdy, którym bilet rzuca się jak z łaski: Toż sekretarz teatralny, p. Fjałkowski, rozkrzykuje publicznie po winiarniach, że „loże pierwszego piętra rezerwować trzeba dla *szlachty*, a dla *łyków* jest drugie piętro i galerya.“ Wymieniłem umyślnie nazwisko nowoczesnego arystokraty, aby skłonić go do głębszego uzasadnienia zdumiewającej maksymy, i oświadczam z góry, że redakcya „Przeglądu“ gotową jest każdej chwili udowodnić autentyczność charakterystycznego okrzyku.

Zresztą dochodzą mnie z stron najrozmaitszych posłuchy, że sama dyrekcya nie tai się wcale z zasadą „forytowania prowincyi“, a „stały przyjaciel sceny“, — nie ten, który w Dziennikowych rubrykach składek na fundusz żelazny zapisuje co tydzień 20 fenygów, lecz ten wielki tłum poznańskiego mieszczaństwa, który przez sezon cały zapełnia loże i krzesła, — zadawalniać się musi rolą biednego kopciuszka. A przecież bez tych pogardzanych „łyków“ scena narodowa poszłaby w rozsypkę, bo minęły już dawno owe piękne czasy, w których braciaziemianie zajeżdżali czterokonnemi karetami przed gmach teatralny. Dziś obywatelstwo wiejskie, zgnębione fatalną presyą stosunków

i wycieńczone materyalnie, tylko przy nadzwyczajnych okazyach zjawia się w lożach i krzesłach, a scena poznańska opiera się nieomal wyłącznie na barkach mieszczaństwa. Nie chciałbym, aby posądzono mnie o niechęć dla ziemian poznańskich, bo ani jednej chwili nie zapominam o tem, że na ofiarności tej właśnie warstwy opierał się długo byt najpoważniejszych instytucyi filantropijnych i artystycznych, ale czasy zmieniły się z błyskawiczną szybkością i z metamorfozą taką liczyć nam się wypada. W niemieckich piwiarniach wyraz „Stammgast“ jest czarnoksiężkiem zaklęciem. Ono podwaja gorliwość służby, ono zapewnia uprzywilejowane stanowisko „stałym“ lubownikom jednego kącika i jednego piwa, lecz miasto Poznań, ten „Stammgast“ teatru, otrzymuje za „stałość“ swoją tylko gorzkie pigułki: „Łyki na galeryę“!

Nie przypuszczam, aby dyrekcya teatru nie zdawała sobie sprawy z krzywdy wyrządzanej mieszczaństwu, ale całe nieszczęście polega znowu na fatalnej kolizyi zarządu sceny i redakcyi „Dziennika Pozn.“ — dwóch urzędów w jednem połączonych ręku. Kierownik organu, założonego przez ziemian, opierającego się wyłącznie nieomal na sympatyach prowincyi i stojącego na straży przywilejów ziemiańskich, charakter swój ujawnia również w teatralnych manipulacyach i proteguje „uprzywilejowanych“ „Dziennika“ w przybytku sceny narodowej. Być może, że postępowanie takie służy interesom naczelnego redaktora i organu jego, ale nikt chyba wątpić nie może, że teatrowi zagraża ono ruiną. Ostrożnie z ogniem, panowie! Byt sceny poznańskiej opiera się na mieszczaństwie; a jeżeli ta żywa kolumna usunie się z obawy przed nową porcyą pigułek, wtedy gmach ukochany runie niezawodnie.

Przy tej okazyi niepodobna mi zamilczeć powszechnych skarg i żalów, wywołanych niezwykle wysoką kontrybucyą, nałożoną na lubowników teatru z powodu przyjazdu pani Modrzejewskiej. Dyrekcya raczyła ceny wyśrubować do tego stopnia, że społeczeństwo tak finansowo wyczerpane, jak nasze, zupełnie słusznie przeciw niezwykłej taksie protestować może. Wiem, że kasa teatru w bieżącym sezonie pracuje bezustannym nieomal deficytem, — rozumiem także, że dyrekcya uchwyciła się pani Modrzejewskiej jak ostatniej deski ratunku, ale przekonany jestem, że wysokość kontrybucyi opiera się na fałszywych kalkulacyach. Siła atrakcyjna wielkiej artystki jest zbyt wielką, aby teatr miał świecić pustkami, lecz skoro gość nasz opuści mury Poznania, nastąpić musi smutny czas pokuty, bo publiczność, wyssana finansowo, omijać będzie mury teatralne. Przykład lwowskiego teatru powinien być dla dyrekcyi naszej nauką. I tam pani Modrzejewska wypełniła pustki kasowe deszczem guldenowym, ale gdy świetna gwiazda zniknęła z horyzontu, grano cztery tygodnie nieomal przed pustemi krzesłami. Lękam się, aby teatr poznański podobnego nie doznał losu i, skoro po latach tłustych chude nastąpią, nie stanął w położeniu wcale niewesołem.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Klemens Junosza. „Żywota i spraw Imć pana Symchy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro.“ — Warszawa, Teodor Paprocki i Sp. 1895.

Wielkiego talentu nowellista, doskonały znawca języka, obyczajów i spraw proletaryatu żydowskiego w Polsce, Klemens Junosza, przedstawił w tej najnowszej swojej książce życie przeciętnego żyda, jego wychowanie, wpływy, działające nań w młodości, oraz sposób zarobkowania. Głębsze spostrzeżenia i wcale poważne, choć nieco jednostronne poglądy na sprawę żydowską ujął on w właściwą sobie formę humorystyczno-satyryczną, niepotrzebnie tylko styl opowiadania mieni się archaizmami biblijnemi, to znowu zwrotami pisarzy naszych z końca XVII wieku. Cokolwiekbądź, z całości tryska — jak zwykle — niepospolita siła dowcipu i artyzmu, na wskroś oryginalnego a tak pięknie wyróżniającego autora z pośród innych młodych pisarzy polskich.

* * *

Oskar Lenz. Do wybrzeży Azyi wschodniej. Wrażenia turysty. Przełożył S. Stetkiewicz. Warszawa, 1894, str. 136.

Oskar Lenz przepłynął Suez, zawadził o Indye wschodnie i zwiedził miasta portowe Chin i Japonii: Hongkonk, Kanton, Jokohamę, Tokio, Osakę i Kioto. Spostrzeżenia jego nie odznaczają się ani głębokością poglądów, ani malowniczością obrazów, posiada wszakże zaletę prostoty i lekkości, zakrawającej niekiedy na dowcip, a niekiedy na naiwność. Tocząca się w ziemi Mandżu wojna nadaje tej książce wartość bieżącą. Przekład miejscami chroma pod względem czystości i jasności stylu.

* * *

G. Sennewald. Słońca blaski i krople deszczu. Warszawa 189).

Książeczka to bardzo odpowiednia dla małych dzieci, które się dopiero czytać nauczyły. Ozdobiona ładnemi, w części kolorowanemi obrazkami, zawiera wierszyki małe, gładkie i zupełnie dla dziecięcych umysłów przystępne. Treść ich, wzięta wyłącznie z życia drobnej dziatwy, odpowiada naiwnym pojęciom czytelników tego wieku. I zewnętrzna forma również zastosowana do potrzeb najmłodszego pokolenia. Druk wyraźny, układ obrazków prosty i papier gruby, co też nie jest bez znaczenia — dla małych niszczycieli.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Prezes koła polskiego w sejmie pruskim, p. Stanisław Motty, ogłasza, że pierwsze posiedzenie koła odbędzie się w czwartek 17 stycznia. — Z Berlina donoszą, że na wieczorku parlamentarnym cesarz wcale niedwuznacznie zapowiedział nowe postulaty finansowe na powiększenie marynarki. · Posłem z okręgu żnińsko-wągrowiecko-mogilnilckiego obrano p. Karola Sczanieckiego 226 głosami. Kandydat niemiecki Davier otrzymał tylko 110 głosów. — Z Warszawy donoszą do pism wiedeńskich, że car Mikołaj powołał pp. Wielopolskiego, Potockiego, dr. Baranowskiego i Blocha celem zasięgnięcia od nich informacyi o życzeniach i położeniu kraju. — „Koln. Volksztg.“ twierdzi mimo półurzędowego zaprzeczenia, że pomiędzy cesarzem Wilhelmem a królem wirtemberskim przyszło podczas ostatnich manewrów do nieporozumień. — Na sejmiku powiatu śremskiego napiętnował hr. Adam Żółtowski z uznania godną energią antipolskie „Towarzystwo szerzenia niemczyzny“ i członków jego.

Zjazdy i kongresy. Walne zebranie poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbędzie się 23 b. m. Na porządku dziennym jest wybór prezesa. — W Moskwie w 1897 r. odbędzie się zjazd międzynarodowy lekarzy.

Teatr i muzyka. Pani Modrzejewska rozpoczęła szereg gościnnych występów na poznańskiej scenie. Obszerną recenzyę pióra Dr. W. Rabskiego zamieścimy w przyszłym numerze. — W dniu 8 stycznia, na przedstawieniu opery „Pajace“ w czeskiem „Divadle“ był obecnym kompozytor Leoncavallo. — Na scenie teatru lwowskiego wystawiono komedyą z niemieckiego p. t. „Wybory do rady miejskiej.“ — Pani Modrzejewska wystąpi na poznańskiej scenie w sztukach następujących: Barbara Radziwiłłówna, Marya Stuart, Gniazdo rodzinne, Adrienna Lecouvreur, Fedora, Makbet, Mazepa, Walka kobiet. — W Paryżu otwarto jeszcze jeden wolny teatr p. t. „Théetre de l'Ere nouvelle“ — W dniu 21 stycznia pojawi się na scenie lwowskiej słynna komedya p. t. „Madame sans gene.“ — Najbliższą nowością warszawskiego teatru Rozmaitości będzie komedya Bałuckiego p. t. Ciepła wdówka. Próby już rozpoczęto. — W „Deutsches Theater“ w Berlinie, odbywają się próby z najnowszego utworu Ibsena p. t. „Mały Eyolf“. — O tłomaczeniu komedyi Sudermanna p. t. „Walka motyli“ wydała krytyka warszawska sąd nader ujemny. Tłomacz, p. Gabryel Kempner, w liście otwartym broni się przeciw zarzutom recenzentów, podnosząc z naciskiem, że komedya realistyczna nie znosi rzeźbionego języka, a gdzieniegdzie wymaga nawet pewnej trywialności zwrotów. — Polska trupa dramatyczna zajechała po wielu zwłokach i kłopotach do Petersburgu i zapowiedziała na 26 bm. pierwsze przedstawienie

Fiasco i klapa. Kiedy Bliziński usłyszał lub wyczytał, że sztuka zrobiła „fiasko“, zżymał się poczciwiec i gderał: jak wy mówicie, po jakiemu wy piszecie? fiasko to flaszka, cóż to więc ma znaczyć: sztuka zrobiła flaszkę? Zmiłujcie się, nie zanieczyszczajcie języka takiemi dziwolągami — wstydźcie się, pfe! wy — literaci!“

I miał zupełną słuszność niezapomniany autor „Pana Damazego“. Fiasko to taki brzydki chwast na niwie naszego języka, że wyplenić go gwałtem należy.

Ale coby powiedział Bliziński, gdyby żył i, wziąwszy do ręki numer jednego z najpoczytniejszych pism naszych, przeczytał w korespondencyi wiedeńskiej, że „sztuka X. poniosła klapę“. A tożby biedak skoczył z oburzenia i zgodził się może nawet przeprosić brzydkie fiasko za niegościnność.

Bo jeżeli fiasko brzydkie, to klapa nietylko brzydka, ale i ordynarna, kto tak pisze, ten nietylko kazi język, ale wprowadza do niego gwarę ulicznikowską, knajpową.

Ach! bodaj raz, ale to na zawsze, klapnęli tacy korespondenci! K. B.

Na półkach księgarskich pojawiła się Gothowska „Ifigenja w Taurydzie“ w świetnym przekładzie Jana Kasprowicza. Jest to niewątpliwie najlepsze z wszystkich dotychczasowych tłomaczeń.

Humorystyka

W „fin de siecle'u“ proszę pani
Dziwna rządzi praw zawiłość:
Serc w małżeństwie wcale nie ma,
Interesem zaś jest miłość.
Wszelkie flirty, oświadczyny,
To czynniki wielkiej blagi,
Najważniejszą zaś rękojmią
Szczęścia w życiu są .. posagi.
Młodzież nasza „na psi“ zeszła,
Dam nie bawi, no, i przytem,
Przy kolacyach się odznacza
Iście wilczym apetytem...
Ni do tańca, ni różańca,
Nie jak dawniej było zwykle,
W zaniedbaniu są dziś panny,
A w estymie zaś — bicykle;...
Zblazowane miejskie „tschoki“
Dziś w odrębnej żyją sferze,
Z monoklami w ślepych oczach
Pędzą życie przy pilznerze.
Jak się taki pan oświadcza
Ubóstwianej swej dziewicy:
To powiada: — Kocham panią,
Ja — i moi dwaj wspólnicy!...
Zbankrutował przeto Amor
Z swojem sercem cichem, szczerem.
I, jak mówią, to na giełdzie
Doskonałym jest meklerem...

Zmarli:

Prof. Wilhelm Arndt, znany historyk niemiecki zm. w Lipsku 10 stycznia.

Tadeusz Korwin Łopuszyński, znany publicysta i ekonomista, zm. we Lwowie.

Prof. Jerzy Janssen, znany historyk rolnictwa, zmarł w Getyndze.

Odpowiedzi Redakcyi.

En. Artykułu łaskawie nadesłanego nie mogliśmy zamieścić z powodu nadmiaru materyału w bieżącym numerze, a w przyszłym straciłby wartość aktualną.

S. K. Nie odmawiamy talentu, ale forma jeszcze twarda i pospolita. Zachęcamy do dalszej twórczości.

Oliwier. Postępowanie gnieźnieńskiego nauczyciela religii na pensyi żeńskiej nie jest jedynem w swoim rodzaju. Donoszono nam o kilku podobnych wypadkach, ale w obec tak nieszlachetnej broni mamy tylko jedną odpowiedź: „Guarda e passa“.

Sprostowanie.

Do wstępnego artykułu w nr. 1 p. t. „Rok żałoby“ zakradła się z winy korektora następująca omyłka: Zamiast „Psalmy Krasickiego“ czytać należy; „Psalmy Krasińskiego“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.